



Zeszyty TŁUMACKIE



I kwartał 1996 r.

ISSN: 1426-4129

Nr 1

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



SPIS TREŚCI

Od Redakcji — <i>D. Tabińska-Juhasz</i>	3
Opłatek wigilijny — <i>M. Ilnicka</i>	3
I. Tłumacz w latach 1939-1945	
Z pamiętnika Jakuba Andrzeja Jakubowicza	5
II. Kościół p.w. Św. Anny — Tłumaccy księża	
Obrazy z kościoła Tłumackiego — <i>Tadeusz Kukiz</i>	7
III. W cieniu białych nocy i czarnych dni	
Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mojego życia — — <i>Anna Panachida-Bocheńska</i>	11
Nasza wycieczka do Kazachstanu w dniu 13 kwietnia 1940 — — <i>Antonina Gabańska-Hanus</i>	12
IV. Tłumacki Holocaust — wyjątek z książki wydanej w Izraelu	
Sprawiedliwi — prawi nie Żydzi (The Righteous Gentiles) — — <i>Ahlomo Bland</i>	14
V. Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy — <i>ks. Leszek Jeżowski</i>	19
VI. Wiadomości z życia Tłumaczan	20
VII. Odeszli	23

Okładka: Tłumacz w latach trzydziestych — centrum

Redaguje zespół w składzie: Danuta Tabińska-Juhasz, Anna Panachida-Bocheńska,
Krystyna Ossowska-Korta, Helena Billńska

Redakcja techniczna: Małgorzata Wanke-Jakubowska
Maria Wanke-Jerie

Adres Redakcji: Ogólnopolski Oddział Tłumaczan, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I p.
tel. 44-88-93, Nr konta PKO III O/Wrocław Nr 93549-107099-132

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych



M. Ilnicka

wiersz zesłanki z 1899 r.

Oplątek wigilijny

Łamię się z Wami dziś opłatkami białymi,
 Wy wszyscy moi dalecy, czy bliscy,
 Wy, co z błędnej gwiazdy ideałem,
 Po świecie się rozpruszyli całem.
 Wy, co pijecie z rzek lodowych źdźdź,
 Ducha nie dając pod troskę nawiałem,
 Wy wierni moi, wytrwali, Wy wszyscy,
 Których rząd jasny przed wzrokiem mi stoi,
 Związani ze mną węzłem wiecznie trwałym,
 Z Wami się łamię dziś opłatkami białymi.
 Dla tego, co mam w nędze i trosce powodzi
 zostaje jasnym, czystym i wspaniałym,

Dosiego Roku 1996

Redakcji „Zeszytów Tłumackich” jest niezmiernie miło, że pierwszymi jej słowami do Czytelników są słowa najserdeczniejszych Życzeń Noworocznych, wszelkiej pomyślności i samych radosnych dni w Nowym 1996 Roku!

Tłumaczanom z całej Polski oraz mieszkającym poza jej granicami życzymy udanych spotkań w 1996 roku, miłego tradycyjnego wspólnego wypoczynku!

Życzymy też sobie, żeby ten kwartalnik „Z’P” rozpoczynający publikację dziejów naszego miasta Tłumacza podobał się wszystkim i zaciekał nie tylko jego dawnym mieszkańcom wraz z ich dziećmi i wnukami, ale wszystkich kresowiaków, którym przesyłamy z głębi wschodniego serca płynące życzenia

„Dosiego Roku”.

Zespół Redakcyjny

Życzenia przysłane nam na spotkanie opłatkowe

Wielce Czcigodni i Drodzy
 Siostry i Bracia naszego Rodzinnego
 Gniazda Parafii Św. Anny w Tłumaczu,

Każdorazowe Święta Bożego Narodzenia przysparzają pielgrzymowi — człowiekowi na nowo tajemnicę Bożej miłości. Stają się źródłem wielkiej radości duchowej. Rodzą w świadomości umocnienie ufności i nadziei. I tę miłość wniesioną przez Zbawiciela na drogi świata człowiek stara się realizować wokół siebie.

Na Święta otwartej MIŁOŚCI, której głębokim symbolem jest ten tradycyjny Oplątek naszej Wspólnoty Tłumackiej składam Kochanym Siostram i Braciom w Chrystusie Panu najszersze życzenia, by Chrystus ubogacał Was wszystkich wszelkimi łaskami.

Nowy Rok Pański 1996 niech się okaże szczególnie obfity w błogosławieństwo Boże w codziennych sprawach naszej rzeczywistości.

Życzę wszystkim daru dobrego zdrowia, pełnej radości, głębi pokoju oraz wszelkiej pomyślności. W dzisiejszej Mszy św. modliłem się o to dla Was uczestników Oplątku i dla Waszych Rodzin.

Duchowo dzielę się opłatkami życzliwym sercem, gdyż osobiście nie mogę uczestniczyć. Proszę też o mnie czasem wspomnieć w swoich modlitwach.

Z wyrazami głębokich uczuć
 i serdecznym pozdrowieniem współparafianin

ks. Czesław Tuzinkiewicz
 ks. Czesław Tuzinkiewicz

T Ł U M A C Z

dane statystyczne miasta i powiatu

Miasto powiatowe w woj. stanisławowskim, położone na wys. 220 m npm nad rzeką Tłumaczykiem w regionie geograficznym Pokucia. Po odzyskaniu przez II RP niepodległości wg pierwszego powszechnego spisu ludności z 30 IX 1921 r. Tłumacz liczył ogółem 5788 mieszkańców, w tym: 3391 Polaków, 999 Rusinów—Ukraińców oraz 1395 Żydów. Liczba ludności miasta wzrastała sukcesywnie i osiągnęła w 1939 r. 9118 mieszkańców, wśród których wyznania rzym.—kat. z reguły określających Polaków było 2705 osób.

Tłumacz był siedzibą powiatu, którego obszar wynosił 934 km². Wg spisu powszechnego z 1931 r. w oparciu o podział administracyjny w dn. 1 IV 1938 r. zamieszkiwało go 116 tys. osób tj. 124 osoby na 1 km².

Do powiatu tłumackiego należały następujące gminy wiejskie

1. Antonówka
2. Babianka
3. Bohorodczyn
4. Bartniki
5. Bratyszów
6. Budzyn
7. Bukówna
8. Chocimierz
9. Chomiakówka
10. Czarnołożce
11. Delawa
12. Dolina
13. Dołhe
14. Grabicz
15. Gruszka
16. Hołosków
17. Horyhlady
18. Hostów
19. Hryniówce
20. Jezierzany
21. Jurkówka
22. Klubowce
23. Kolińce
24. Konstanyńówka
25. Korolówka
26. Krasilówka
27. Krzywotuły Nowe
28. Krzywotuły Stare
29. Kutyska
30. Ładzkie Szlachedzkie
31. Markowce
32. Miłowanie
33. Mołodyłów
34. Nadorożna
35. Neudorf
36. Niżnów
37. Nowosiółka
38. Odaje
39. Okniany

40. Olesza
41. Oleszów
42. Olszanica
43. Ostrynia
44. Ołtynia
45. Pałahicze
46. Pełtryłów
47. Podpieczary
48. Pohonia
49. Prybyłów
50. Przeniczniki
51. Puźniki
52. Rosznów
53. Skopówka
54. Słobódka ad Odaje
55. Słobódka ad Tłumacz
56. Strupków
57. Stryhańce
58. Targowica
59. Tarnowica Polna
60. Uhorniki
61. Winograd
62. Worona
63. Zakrzewce

Status miasta w pow. Tłumacz miała Tyśmienica. Pow. tłumacki graniczył od półn z pow. buczackim, na wschodzie z horodenckim, od poł z nadwórniańskim od zach. ze stanisławowskim.

Ludność zajmowała się:

- rolnictwem 85%
- rzemiosłem 7%
- handlem 3,5%
- komunikacją i transportem 1,5%
- innymi zajęciami 3%

Powiat zamieszkiwała ludność narodowości polskiej, ukraińskiej, ruskiej, żydowskiej niemieckiej i ormiańskiej.

Język polski był używany w mieście w 40%, na wsi 18%

Język ukraiński był używany w mieście 19%, na wsi 54%

Język ruski był używany w mieście 11%, na wsi 25%

Język niemiecki był używany w mieście 2%, na wsi 1%

Język żydowski był używany w mieście 28%, na wsi 2%.

Dane opracowano z następujących źródeł:

1. Skorowidz Miejscowości RP opracowany na podstawie wydruków Pierwszego Powszechnego Spisu Ludności z 30 września 1921 r. i innych źródeł rządowych T.XIV woj. stanisławowskie, Warszawa, 1923
2. Rocznik Statystyczny, Warszawa 1938
3. Schematismus... 1938

Danuta Tabińska-Juhasz

Od Redakcji!

Drodzy Tłumaczanie,
Czytelnicy,
Kresowianie!

Oddajemy w Wasze ręce pierwszy numer „Zeszytów Tłumackich”. Pismo to będzie kwartalnikiem.

Od 30 już lat tłumaczanin dr Michał Nikosiewicz gromadzi dokumenty, wspomnienia, źródła archiwalne i zdjęcia o rodzinnym mieście Tłumaczu oddalonym o 24 km od Stanisławowa na trasie Horodenka Zaleszczyki. Materiałów jest na sporą książkę — monografię tłumacza. Niestety, kiedyś nie można było nawet marzyć o jej wydaniu, a dzisiaj nie ma na to funduszy. Wybraliśmy więc tę drogę t.j. wydawanie kwartalnika wykorzystując nagromadzone materiały oraz publikując na bieżąco dzieje Klubu Tłumaczan. Ma on już 40-letnią historię, gdyż wypędzeni ze swego miasta mieszkańcy, często też rozproszeni przez zawieruchę wojenną po całym świecie, odnajdowali się po wojnie, urządzali spotkania koleżeńskie i zjazdy. W 1989 roku jako pierwsi przystąpili do Towarzystwa Miłośników Lwowa we Wrocławiu zaledwie w parę miesięcy po powstaniu tam Zarządu Głównego.

Będąc świadomi, że jesteśmy ostatnimi świadkami zagłady polskiego miasta, w którym od wielu stuleci rozbrzmiewała mowa polska obok ruskiej, żydowskiej i ormiańskiej, chcemy dać świadectwo prawdzie publikując ją w naszych „Zeszytach Tłumackich”.

Od 17 września 1939 roku mieszkańcy Tłumacza poddani zostali ciężkim represjom. Były to liczne aresztowania, deportacje na Sybir przez sowieckiego okupanta, szczególnie inteligencji polskiej.

W latach 1941-44 na skutek faszystowskich działań okupanta niemieckiego zostali zlikwidowani prawie całkowicie żydowscy mieszkańcy Tłumacza. Natomiast w latach 1944-45 zgodnie z postanowieniami Jałtańskimi zostali zmuszeni do opuszczenia swojej rodzinnej ziemi polscy mieszkańcy Tłumacza i to pod groźbą utraty życia z rąk nacjonalistów ukraińskich spod znaku tryzubka. W mieście pozostali tylko nieliczni Polacy, zazwyczaj z mieszanymi rodzinami.

W „Zeszytach Tłumackich” chcemy przede wszystkim przedstawić wspo-

mnienia tłumaczan z tych okrutnych wojennych lat. Proponujemy Państwu jako jeden z pierwszych cykl pt.:

1) „Tłumacz w latach 1939-1945”.

Centralnym punktem Tłumacza był kościół, stanowiący główny element w pejzażu miasta, jak również odbicie w świadomości Polaków. Mieliśmy szczęście do wspomniałych duszpasterzy. Drugi cykl będzie więc pod tytułem:

2) „Kościół p.wezw. św. Anny — Tłumaccy księża”.

Tragedią wojenną ludności tłumackiej były zsyłki na Sybir, przeprowadzone przez pierwszego okupanta sowieckiego. Wspomnienia naszych „Sybiraczek” będziemy drukować w cyklu trzecim pt.:

3) „W cieniu białych nocy i czarnych dni”.

Jesteśmy w posiadaniu tłumaczenia książki wydawanej w Izraelu w 1983 roku „The Righteous Gentiles” — „Sprawiedliwi-prawi nie Żydzi” autor Samuel Bland.

Będziemy z niej przedrukowywać wspomnienia uratowanych Żydów w powiecie Tłumackim. Jak napisał sam autor: „Ocalonym od zagłady opowiadaj o chrześcijanach prawych — nie Żydach, którzy narażali swoje życie chroniąc, ratując Żydów przed zniszczeniem przez nazistów. Cykl ten ukáže się pod wspólnym tytułem:

4) „Tłumacki Holocaust”.

Dr M.Nikosiewicz opracował również materiały historyczne, poczynawszy od pierwszych wzmianek o Tłumaczu poprzez średniowiecze aż po XIX wiek z opisem zaboru austriackiego, I wojnę światową, dwudziestolecie międzywojenne. Ten cykl będziemy publikować pt.:

5) „Historia Tłumacza”.

Posiadamy również cenne opracowanie pt. „Ullice Tłumacza i jego mieszkańcy”, którego autorem jest ks. Lesław Jezowski. Są to jego przedwojenne wspomnienia opisujące pejzaż i ludzi miasta. Będziemy to drukować w odcinkach w cyklu pt.:

6) „Tłumacz w dwudziestolecie międzywojennym”.

Mamy też ciekawe wspomnienia opisujące czas opuszczenia rodzinnego miasta, skynnej podróży na Zachód i początków nowego życia. Ten cykl będzie publikowany pt.:

7) „Wypędzeni-nowe życie”.

Spotykający się przez tyle powojennych lat Tłumaczanie, chociaż bez swojego miasta, zdążyli już stworzyć własną historię. Będziemy więc publikować ją w cyklu pt.:

8) „Wiadomości z życia Tłumaczan”.

Zwracamy się więc do wszystkich Tłumaczan z prośbą o przysyłanie do redakcji swoich wspomnień, nawiązujących tematycznie do naszych cykli, które będziemy drukować sukcesywnie w naszym kwartalniku „Zeszyty Tłumackie”. Znając głębokie przywiązanie mieszkańców Tłumacza do rodzinnej ziemi, jesteśmy przekonani, że wychodzimy naprzeciw ich życzeniom i „Zeszyty Tłumackie” będą życzliwie i z dużym zainteresowaniem przyjęte nie tylko przez Tłumaczan ale Kresowiaków również, albowiem wspólne są dzieje utraconych Kresów.

Danuta Tabińska-Juhasz

Tłumacz w latach 1939-1944

Pamiętnik Jakuba Andrzeja Jakubowicza

(ur. 24. XII. 1887 r. w Puźnikach, właściciel majątku Bortniki)

Lato 1939 roku

Sierpień roku 1939 był upalny. Zbiory zapowiadały się bardzo dobrze, a żniwa i zwózka zbóż przechodziły sprawnie. Nie odczuwało się jednak ani radości z powodu bogatych zbiorów, ani z pięknej pogody. Nad Europą ciążyła zhora niepokoju i wojny, wywołana agresywnymi żądaniem Niemiec. Hitler po zagarnięciu Austrii i zgnębieniu Czech, chciał wymusić na Polsce szereg ustępstw, które były nie do przyjęcia. Przede wszystkim chodziło Hitlerowi o zagarnięcie Gdańska i wymuszenie szerokiego korytarza, który miał być wypadową drogą przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Polska szukała sobie, i znalazła sojuszników, a byli nimi Anglia i Francja. Z Rumunią mieliśmy dobre stosunki, a nawet wojskowe układy. Między Polską a ZSRR zawarty był pakt nieagresji. Zdawało się, że przy takim układzie nic Polsce nie grozi. Tymczasem w połowie sierpnia wyjechała delegacja niemiecka z Ribbentropem na czele do Moskwy i tam po kilku dniach tajnych narad z Mołotowem postanowiono uderzyć na Polskę. Rząd Polski nie znając treści tajnych układów między Niemcami a Rosją i mając takich sojuszników od Zachodu jak Anglia i Francja, a od Wschodu pakt nieagresji, był przekonany, że w razie konfliktu zbrojnego obydwie mocarstwa zachodnie natychmiast pospieszą z pomocą, a Rosja zachowa neutralność. Niemcy były lepiej poinformowane o nieprzydatności bojowej Anglii i Francji w owym czasie i w dniu 1 września z całym cynizmem i brutalnością ruszyły na Polskę swoimi dywizjami pancernymi i eskadrami lotniczymi. Anglia i Francja w dniu 3 września wypowiedziały wprawdzie Niemcom wojnę, ale był to manewr tylko dyplomatyczny, bez żadnych dalszych konsekwencji.

Pod przewagą liczebną i techniczną Polska broniła się heroicznie, ustępując olbrzymiej przewadze. Po dwóch tygodniach ciężkich walk, cofające się wojska miały zgrupować się w rejonie Stanisławów, Tarnopol, Kołomyja, aby stawić jeszcze raz opór hitlerowcom. Tymczasem dnia 17 września wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski w rejonie Zaleszczyk, a radio moskiewskie nadało komunikat, że wkraczają, aby utrzymać porządek i gwarantują bezpieczeństwo wszystkim. Radio wzywało wszystkich, aby pozostali przy swych zajęciach i wykonywali spokojnie swoją pracę. Pomimo tych zapewnień wszczęły się popłoch i jeszcze większe zamieszanie: oficerowie, urzędnicy, policja i cała falanga cywilnej ludności rozpoczęła ucieczkę na Węgry i do Rumunii. Na drogach powstał chaos i zatory nie do opisania, z powodu braku benzyny stawały unieruchomione auta cywilne, a ich właściciele uciekali piechotą, albo najętymi furmankami. Namyslałem się co mam z sobą i całą moją rodziną począć. Postanowiłem zebrać co cenniejsze na dwie furmanki i wyjechać przez Kuty do Rumunii. Posłałem gońca do siostry mojej do Issakowa, aby się natychmiast pakowała i ze swoimi małymi córeczkami dołączyła do nas. Siostra moja, Złowocka, żona zmobilizowanego oficera rezerwy nie miała opiekuna, uważałem więc za swój obowiązek nakłonić ją do wyjazdu. Tymczasem posłaniec wrócił przywożąc odpowiedź odmowną: siostra postanowiła pozostać. Matka moja postanowiła także pozostać, tymbardziej, że znajomi

nasi zostawali także, twierdząc, że to już nie ci sami bolszewicy z przed 20 lat. Ostatecznie, może nas spotkać wywłaszczenie, ale nie poza tym. Wobec tak optymistycznych rozważań pozostałem i ja z rodziną. Wynająłem 2-pokojowe mieszkanie w Tłumaczu i z moją rodziną i starą matką wyjechaliśmy do miasta zabierając najkonieczniejsze przedmioty.

Wyjeżdżając z domu wypłaciłem wszystkim pracownikom pobory do końca roku: tj. do 1 stycznia 1940 r. W Tłumaczu rozlokowaliśmy się w naszym małym mieszkaniu i czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków. Przeczekaliśmy tak dwa dni w niepewności, a tymczasem nasze patrole pod dowództwem oficerów, krążyły po mieście i utrzymywały porządek. Dnia 20 września w nocy usłyszeliśmy strzelaninę w mieście. Ubraliśmy się wszyscy i tak czekaliśmy dnia. Rano dowiedzieliśmy się, że Rosjanie są już w mieście, a rezultatem nocnej strzelaniny są dwaj zabici żołnierze polscy i jeden koń taborowy, który leżał jeszcze nie uprzątnięty na ulicy. W tym dniu i w następnych, bez przerwy jechały ruskie czołgi i samochody ciężarowe kierując się na Stanisławów. Jakież władze wojskowe zajęły starostwo i gminę i zaczęły urzędowanie od uzbrojenia wyrostków ukraińskich i żydowskich w karabiny. Rozklejano obelżywe afisze godzące w patriotyczne uczucia Polaków. Poza głupią podobizną pułkownika polskiego, którego kopie żołnierz sowiecki, były duże afisze z orłem polskim, którego przebija bagnetem żołnierz sowiecki. Takie postępowanie wzbudziło wśród nas Polaków oburzenie i już wtedy zdawaliśmy sobie sprawę z tego co nas czeka od sąsiada „miłującego i idącego nam na pomoc”. Władze sowieckie obstały wszystkie urzędy jak: starostwo, urząd skarbowy, poczta wyrostkami żydowskimi i ukraińskimi uzbrojonymi w karabiny wiszącymi często na sznurkach.

Zostałem w piątym dniu Sowietów wskazany żołnierzom sowieckim, którzy mnie aresztowali i prowadzili do sali gimnastycznej w „Sokole”, gdzie uwięzionych już było dużo podoficerów i żołnierzy polskich. Pierwszy dzień spędziłem wśród żołnierzy, którzy tak jak i ja nie wiedzieli co ich czeka; w nocy ułożyliśmy się na brudnej podłodze i tak przeleżeliśmy do rana. Strażnikami naszymi byli Ukraińcy z bagnetami na karabinach. Stali oni nie tylko przy drzwiach i oknach, ale całą noc chodzili gorliwie wśród nas. Ponieważ byłem znany na terenie Tłumacza, porządniejsi ludzie podjęli starania, aby mnie stamtąd uwolnić. Na drugi dzień około południa, na skutek zabiegów uczciwych ludzi wszedł na salę ruski pułkownik, wywołał mnie i w jego towarzystwie udałem się do gminy, gdzie czekała na mnie żona i dzieci. Po krótkiej rozmowie, pułkownik mnie zwolnił, dodając, że to nie jego sprawa aresztować cywilnych, jak przyjedzie NKWD niech sobie te sprawy rozstrzyga. W następnym dniu wypadła niedziela, poszliśmy do kościoła przepełnionego modlącymi się. Ks. kanonik Tabaczkowski wygłosił bardzo śmiało i patriotyczne kazanie, widziałem wielu ludzi płaczących. W kilka dni później pojawiły się władze NKWD i rozpoczęły się aresztowania i przesłuchania. Najpierw aresztowano urzędników starostwa z zast. starosty Jeżowskim na czele, potem burmistrza Seidlera, następnie policjantów, sędziów, ziemian i kto tylko nowym władzom się nie podobał. Gorliwymi dostawcami aresztantów były szumowiny żydowsko-ukraińskie, ale dołączyli do nich i tacy, którzy chcieli przy tym i materialnie skorzystać. Jednym z nich był mieszczanin tłumacki: Makarewicz, Ukrainiec Dutczak z kilkoma kolegami,

a całej tej tak zwanej „Milicji” przewodziła Lepoldówna, córka rzeźnika, która siedziała za czasów polskich kilka miesięcy za wystąpienia antypaństwowe. Lepoldówna w aureoli bohaterstwa z gwiazdą czerwoną na czapce i ogromnym rewolwerem u boku, urzędowała rewizje i aresztowania, a na dworcu kolejowym obserwowała wsiadających do pociągu baczynym okiem, a kto się jej nie podobał kazała aresztować i odprowadzać do więzienia. Ponieważ wielu moich znajomych i przyjaciół było już aresztowanych, spodziewałem się i ja lada dzień aresztowania.

A tymczasem przez Tłumacz przewalały się rzesze uciekinierów: jedni starali się dostać przez Lwów gdzieś na Zachód, a było dużo takich, którzy przez Horodenkę chcieli przekroczyć granicę rumuńską. W połowie października przyszła do nas pieszo siostra moja Złowodzka prowadząc za rączki dwie swoje maleńkie córeczki: Terenię i Halunię, a w dwa dni później przyszła Wisia Minasiwiczowa prowadząc troje swoich dzieci. Sprawiało to bardzo przykry widok, dzieci bose, zmęczone po 10-kilometrowym marszu zabrudzone i głodne. Na szczęście udało się matce i dzieciom przedostać do Lwowa, gdzie przetrwali całą wojnę.

W następną niedzielę tłok w kościele był taki, że ludzie nie mieścili się i słuchali mszy św. stojąc przed kościołem. Ks. Tabaczkowski wygłosił znowu piękne, śmiałe kazanie. Ciekawe, że tego wielkiego Polaka i kapłana nie aresztowali bolszewicy; zginął później w więzieniu aresztowany przez Niemców. W czasie tej uroczystej sumy, wyszedł na rynek mieszczanin Makarewicz z dłutem i młotem w ręce i z pomnika zrzwał orła polskiego. Tym podłym czynem wkraść się Makarewicz w łaski nowych władców. Posługiwali się nim później podczas aresztowań i przeprowadzanych rewizji. Już po miesiącu gorliwego urzędowania został Makarewicz uwięziony za to, że w czasie rewizji przywłaszczał sobie co cenniejsze przedmioty. Czwartego listopada około godz. 12 w nocy obudziło mnie dobijanie się do drzwi wejściowych. Obudziłem się ze snu i od razu zrozumiałem, że przychodzą mnie aresztować. Narzuciłem płaszcz, podszedłem do drzwi i zapytałem kto i czego chce: „otwierajcie, milicja” — brzmiała odpowiedź. Otworzyłem. Wszedł do pokoju znany mi Ukrainiec Dutczak z rewolwerem w rękę i oświadczył: „zbierajcie się na przesłuchanie”. Bez żadnej dyskusji ubrałem się i pożegnałem się najpierw z żoną i z dziećmi a potem podszedłem do matki, która ujęła moją głowę, ucałowała i zrobiła krzyżyk na moim czole. Było to ostatnie pożegnanie z matką. Nie zobaczyłem jej już nigdy. Przed wyjściem wyjąłem z kieszeni zegarek, wieczne pióro, portfel, a z palca zdjąłem obrączkę i położyłem na stół. Dutczak zapewnił, że nie potrzebnie to zostawiam bo zaraz po przesłuchaniu będę zwolniony. Wyszedłem na dwór, a za mną Dutczak, pod każdym oknem naszego mieszkania stał człowiek z karabinem w rękę. Na rozkaz Dutczaka opuścili swe stanowiska i otoczyli mnie, trzymając karabiny gotowe do strzału. W takiej asyście odprowadzono mnie do sądu, gdzie jakiś major NKWD przesłuchał mnie krótko i polecił zamknąć mnie w celi. Teraz już odebrali mnie dwaj żołnierze radzieccy. Zaprowadzili mnie do dyżurki, gdzie poddano mnie rewizji. Nie miałem nic przy sobie, zabrali mi sznurowadła od butów, krawat i szelki, a potem odprowadzili mnie do celi.

Kościół p.w. św. Anny — Tłumaccy księża

„...obraz św. Anny, cudami słynący, ściągając pątników, wiele pań ormiańskich z powiatu horodeńskiego tu przychodziło, a liczne wota i zapiski parafialne wskazują na liczne uzdrowienia i wiele łask. Zbierał się tu lud Polski i Ruski chwalać św. Annę... Tu u stóp Jej wypraszała sobie małżonkowie potomstwo, zgodę rodzinną, dobre i katolickie wychowanie swych dzieci...”

Kościół św. Anny w Tłumaczu

TADEUSZ KUKIZ

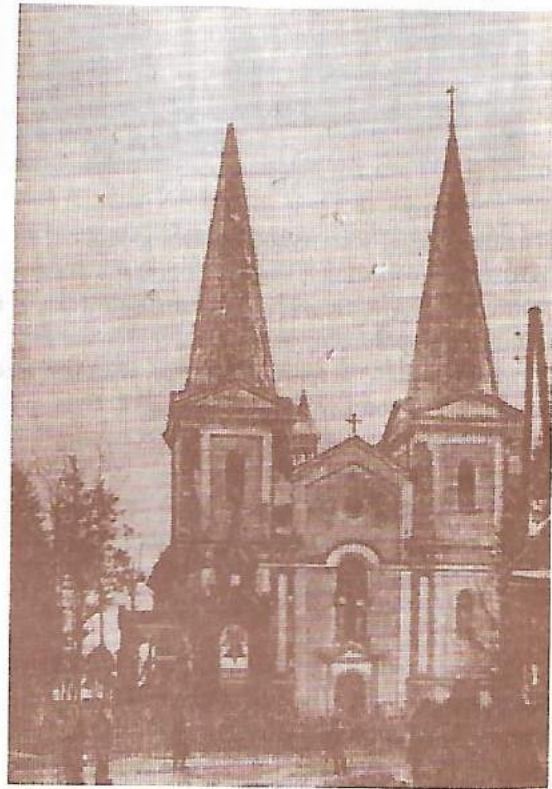
*Pamięci Mariana Mierzwińskiego,
Profesora gimnazjów w Tłumaczu i Prudniku,
niezapomnianego Wychowawcy poświęcam.*

Tłumacz leży 24 km na wschód od Stanisławowa. Tamtejsza rzymskokatolicka parafia była jedną z najstarszych w archidiecezji lwowskiej, erygował ją Kazimierz Wielki około 1370 roku.

Istniejący w Tłumaczu drewniany kościół został w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku rozebrany i przeniesiony do pobliskich Oknian (na jego miejscu postawiono krzyż), a w 1874 roku zbudowano murowany kościół, usytuowany przy głównej ulicy i kończący jej oś widokową. Powstał on dzięki staraniom ówczesnego proboszcza, ks. Franciszka Sawy, znanego w okolicy działacza politycznego, poety i posła na galicyjski sejm. Koszty budowy pokrył właściciel tłumackiego klucza i tamtejszej cukrowni Brett. Konsekracja kościoła odbyła się w roku 1882 w okresie, kiedy proboszczem był ks. Ferdynard Majewski. Świątynię ozdobił polichromią, wykonał ją pod koniec XIX w. lwowski malarz Julian Krupski. Jest prawie pewne, że on także projektował witraże do okien prezbiterium wykonane w zakładzie S.G. Żeleńskiego w Krakowie. W oknie po prawej stronie ołtarza głównego przedstawiona była Matka Boska z Dzieciątkiem i pogrążony w modlitwie król Władysław Jagiełło (z twarzą z „Pocztu” Matejki) wypowiadający słowa: „Okaż mi się, Matko”. Witraż po lewej przedstawiał scenę objawienia Najświętszego Serca Pana Jezusa św. Marii Małgorzacie Alacoque. Z pozostałych dwóch okien prezbiterium, w prawym był witraż ze św. Anną, w lewym — z Matką Bożą Ostrobramską.

Nawjcieńsze wyposażenie kościoła nie jest dokładnie znane. Wiadomo tylko o kilku dziewiętnastowiecznych obrazach na płótnie i drewnianych figurach św. Piotra i Pawła (ustawionych we wnękach po obu stronach ołtarza głównego), a także o dwóch ołtarzach (Najświętszego Serca Pana Jezusa i Matki Bożej Nieustającej Pomocy) zakupionych ze składek parafian zebranych staraniem ks. Majewskiego.

Jego następca, ks. Edward Tabaczkowski (1872-1942) proboszczem w Tłumaczu został w 1910 roku (poprzednio był nim w Kukizowie, przeniesiony stamtąd, jak się zdaje, za sprawą tłumackiego kolatora dr Władysława Dolaisa). Parafii w Tłumaczu ks. Tabaczkowski zasłużył się szczególnie: odbudował i zmienił zewnętrzny wizerunek kościoła, prawie całkowicie odnowił jego wyposażenie, założył ochronkę dla 70 sierot z pierwszej wojny światowej, bursę dla uczniów i dom dla starców, na plebanii udzielał pomieszczeń bezdomnym.



Uszkodzone podczas pierwszej wojny światowej kościelne wieże zostały podwyższone, a ostrosłupowe hełmy zamieniono na nowe, wyglądem przypominające barokowe. Na jednej z wież umieszczono zegar, ufundowany przez ówczesnego burmistrza, aptekarza Mariana Krzywda-Szankowskiego, a na drugiej nowe dzwony. Kolejno zamieszczono dzwony noszące imiona: Franciszek — fundacji Franciszka, Edward — ofiarowany przez proboszcza, Anna — zakupiony ze składek parafian i Andrzej Bobola — ufundowany przez miejscowych ziemian.

Sprowadzony ze Lwowa rzeźbiarz, wincenty Jakubiak (miał warsztat na Chorążczyźnie), odnowił pięć ołtarzy i umieścił w nich wykonane przez siebie, rzeźbione w drewnie i polichromowane obrazy. Zdaniem pochodzącego z Tłumacza ks. Czesława

Kościół
w Tłumaczu
w 1939 r.



Tuzinkiewicz, jest wysoce prawdopodobne, że twarze postaci przedstawionych na tych obrazach malował znany lwowski malarz, Stanisław Kaczor-Batowski, z którym Jakubiak współpracował. Ks. Tuzinkiewicz pamięta, że zawieszono je w sierpniu 1920 roku, w czasie kiedy bolszewicy byli pod Lwowem i Warszawą. Były to następujące obrazy:

- św. Anny Samotrzeciej,
- Matki Bożej Częstochowskiej (w gablocie),
- Chrystusa Dźwigającego Krzyż (w gablocie),
- Najświętszego Serca Pana Jezusa,
- Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Zgodnie z tytułem kościoła obraz św. Anny, okryty rzeźbionym w drewnie i połączanym płaszczem, umieszczony został w ołtarzu głównym, na miejscu starego, olejnego (na płótnie). Jak podawało lokalne czasopismo „Orełdownik Tłumacki”, „...obraz św. Anny, cudami słynący, ściągał pątników, wiele pań ormiańskich z powiatu horodeńskiego tu przychodziło, a liczne wota i zapiski parafialne wskazują na liczne uzdrowienia i wiele łask. Zbierał się tu lud Polski i Ruski chwając św. Annę... Tu u stóp Jej wypraszały sobie małżonkowie potomstwo, zgodę rodzinną, dobre i katolickie wychowanie swych dzieci...”

Obraz św. Anny w ołtarzu głównym zasłaniany był płótnem autorstwa Stanisława Batowskiego, przedstawiającym Chrystusa na Krzyżu z klęczącą u jego stóp św. Marią Magdaleną; ufundowała go kolatorka tłumackiego kościoła, Magdalena Dolais, właścicielka tamtejszych dóbr. Obraz uwidaczniano głównie podczas żałobnych nabożeństw i w okresie Wielkiego Postu. Nad tymi obrazami wisiało płótno, pochodzące jeszcze z XIX w., przed-

stawiające Boga Ojca i gołębicę — symbol Ducha św.

Obraz Matki Bożej Częstochowskiej (wolna kopia jasnogórskiego wizerunku) umieszczony był w ołtarzu bocznym, w prawej nawie. Przy tym ołtarzu odbywały się majowe nabożeństwa do Matki Bożej. Szczególnie gorąco modlono się podczas wojny. Znajdujący się tu poprzecznio olejny obraz (z XIX w.) pod tym samym tytułem ks. Tabaczkowski oddał do kapliczki zbudowanej na terenie posesji małżeństwa Czakajów, ale ogólnie dostępnej.

Obraz M.B. Częstochowskiej miał wysuwalną zastawę: był to wizerunek św. Józefa (olej na płótnie XIX w.). Ukazywano go w m-cu marcu i przed nim odmawiano litanie do św. Józefa.

W ołtarzu lewej nawy znajdował się obraz Chrystusa Dźwigającego Krzyż, zwany przez wiernych wizerunkiem Pana Jezusa Miłosiernego. Niektóre drewniane elementy tego wizerunku Jakubiak wyrzeźbił osobno i nałożył na obraz (krzyż, korona cierniowa). Obraz ten zasłonięto płótnem (olej, XIX w) przedstawiającym Trójcę Przenajświętszą.

W ołtarzach bocznych nad wspomnianymi obrazami umieszczone były, w kolistych ramach, płótna pędzla Batowskiego. W prawym — wizerunek św. Antoniego Padeńskiego (kopia według Murilla), w lewej — bł. Jakuba Strępy, odprawiającego Mszę św. W tle tego drugiego obrazu artysta przedstawił anioła „unoszącego” z czyśćca dusze (m.in. zakonnicę, biedaków, Ojca Świętego w tiarze). Przy jednym z filarów, po prawej stronie nawy znajdował się ołtarz Najświętszego Serca Pana Jezusa z obrazem będącym wolną kopią wizerunku na płótnie tego samego tytułu z lwowskiej katedry. W każdy pierwszy piątek miesiąca odprawiano przed nim Mszę św.

Św. Anna
Samotrzecia





U podstawy obrazu artysta umieścił napis: „Jezu cichy i pokomego serca, uczyni serca nasze według serca Twego”.

Przy filarze po stronie lewej znajdował się ołtarz z ostatnim z wymienionych obrazów Jakubiaka — wizerunkiem Matki Bożej Nieustającej Pomocy, będącym wolną kopią znanego powszechnie obrazu, ale wykonanym przez tego artystę szczególnie pięknie i bardzo bogato zdobionym; z koroną z półszlachetnymi kamieniami. Piękna dodawała mu również ażurowa, wyrzeźbiona w drewnie rama.

Oprócz wspomnianych ołtarzy najbliżej wejścia do kościoła, przy filarach znajdowały się: ołtarz MB Królowej Korony Polskiej — po stronie prawej i ołtarz św. Rocha po lewej. Obraz MB Królowej Korony Polskiej przypominał obraz MB Częstochowskiej, może była to nieudolna kopia, ale dzieło było piękne — pisze ks. Cz. Tuzinkiewicz — tło obrazu czerwone, suknie złocone, nad ukoronowaną głową Matki Bożej jaśniało kilkanaście gwiazd z drewna pożącanego.

U dołu obrazu widniał modlitewny napis: Królowo Korony Polskiej módl się za nami. Obraz mieścił się w kasetonowej, niezbyt głębokiej wnęce. W zależności od potrzeby zakrywał go wysuwalny obraz olejny na płótnie przedstawiający albo św. Katarzynę Aleksandryjską, dziewicę albo św. Różę z Limy. Już nie pamiętam dokładnie. Obraz pochodził z XIX w., miał swoją znaczniejszą wartość artystyczną, autorzy tych obrazów nieznanymi. W ołtarzu po lewej stronie mieścił się obraz św. Rocha malowany na desce (olej). Obraz ten nie miał zasłony.

W kościele było też kilka epitafiów: Władysława Dolajsa, syna kolatorów, który zginął w obronie Lwowa w listopadzie 1918 roku oraz tablica poświęcona pamięci

Polaków poległych w latach 1914-1920. Wszystkie epitafia wykonał Antoni, kamieniarz ze Stanisławowa. Znajdujące się w świątyni organy sprowadzono z fabryki Romana Duchęńskiego z Lwowa. Na zewnętrznej ścianie kościoła, od strony prezbiterium, znajdował się obraz Matki Bożej Częstochowskiej, namalowany na trybowanej blasze. Ufundował go Wincenty Krzywda-Szankowski. Ks. Tuzinkiewicz, którego ojciec był w Tłumaczu właścicielem elektrowni, spowodował umieszczenie pod tym obrazem lampki z „wiecznym płomykiem”, poniżej znajdował się wizerunek Chrystusa — Ecce Homo (polichromia na tynku). Przed fasadą frontową kościoła ustawione były figury Najświętszego Serca Pana Jezusa i Niepokalanego Poczęcia NMP (z terakoty, w drewnianych, gotyckich kapliczkach). Pierwotnie znajdowały się przy wejściu do prezbiterium, ale niezbyt harmonizowały z wystrojem świątyni, dlatego zostały stamtąd przeniesione.

Matka Boża
Częstochowska
(w gablocie)

Podane tu wyposażenie kościoła św. Anny w Tłumaczu oparte jest głównie na relacji ks. Tuzinkiewicza, który — choć sędziwego wieku — cieszy się doskonałą pamięcią. Jest jednak oczywiste, że nie wymieniono tu całego wyposażenia świątyni. Jej inwentarz — podobnie jak innych kościołów archidiecezji lwowskiej — znajduje się w archiwum w Lubaczowie.

Obowiązek przewiezienia wyposażenia tłumackiego kościoła na Ziemię Zachodnie spadł na ks. Franciszka Piszczóra, który przejął parafię po męczeńskiej śmierci ks. Tabaczkowskiego, osadzonego przez Gestapo w stanisławowskim więzieniu za udzielenie pomocy Żydom. Trudno obecnie ustalić, jaką część wyposażenia udało się ks. Piszczórowi przywieść. Nie znane są na przykład losy kilku



Matka Boża
Nieustającej
Pomocy

cennych płócien Batowskiego („Chrystus na Krzyżu”, „Św. Antoni Padewski”, „Bł. Jakub Strepa”), a także dziełnastowiecznego „Boga Ojca i Ducha św.”. Przywieszono obrazy — autorstwa Jakubiaka i Batowskiego — ks. Piszczeń zdeponował w Gniechowicach, gdzie w 1945 r. został proboszczem. Po roku objął parafię w pobliskich Kątach Wrocławskich i zabrał tam ze sobą tłumackie obrazy. Wizerunek MB Częstochowskiej i Chrystusa Dźwigającego Krzyż zawiesił w ołtarzach bocznych tamtejszego kościoła św. Piotra i Pawła (w połowie drogi między Wrocławiem a Świdnicą), a kiedy w 1958 r. odbudowano kaplicę przydworską w Siedlakowicach, później rozbudowaną (która została w parafii Zachowice kościołem filialnym obsługującym Siedlakowice i Mirosławice) przekazał do niej obraz św. Anny. Umieszczono go w ołtarzu.

Dzięki staraniom Zarządu Klubu Tłumaczan działającym w strukturach TMLiKPW, ofiarności członków Klubu, dotacji Kurii Arcybiskupiej we Wrocławiu dokonano ostatnio renowacji obrazu św. Anny. Mieszkańcy Siedla-



Serce
Pana Jezusa

kowic i Mirosławic dużym nakładem sił i środków odnowili świątynię, wyposażyli ją w nowy konfeksjon, dywan przy ołtarzu, chodnik, a co najważniejsze ołtarz, którego dotąd nie było, a obraz św. Anny w swej ramie stał na prowizorycznym ołtarzu. Dnia 31 lipca 1994 roku odbyła się uroczystość poświęcenia obrazu. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył Metropolita Wrocławski, ks. kardynał Henryk Gulbinowicz. Z tej okazji ks. Tuzinkiewicz napisał kilkunastozwrotkowy wiersz pt. „Śladami Mistrza”, poświęcony pamięci ks. Edwarda Tabaczkowskiego. Brak tu miejsca, by przytoczyć wiersz w całości, trudno jednak oprzeć się chęci zacytowania choćby fragmentów:

*W mrocznym więzieniu na twardym betonie
Duszpasterz kończył pielgrzymkę żywota (...)
Może Mu w oczach snuła się nie złota (...)
A Matka Boża i ta święta Anna
Z ołtarza zeszyły w złocistych sukienkach
I pochylały się nad wiernym Sługą
By utrudzoną duszę pracą długą
Do nieba zanieść na swych własnych rękach...*

Obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy ks. Piszczeń podarował ks. Tuzinkiewiczowi, niegdyś ministrantowi w tłumackim kościele, żywiącemu szczególną cześć dla Matki Bożej w tym wizerunku. Kiedy jednak około 1960 roku przyjechali do ks. Tuzinkiewicza byli parafianie z Tłumacza (z pobliskiej wsi Jackówka — przyp. T.K.) i prosili go o ten wizerunek Matki Bożej Nieustającej Pomocy, wzruszony ich pobożnością i miłością do Najświętszej Panny, przekazał im obraz. Szczególnie wzruszyło go to, jak opowiadał, że wierni przybyli po ten obraz przywożąc ze sobą nowe, nieużywane prześcieradło, aby nim owinąć obraz i zawieźć do Siedlakowic w parafii Zachowice, gdzie obecnie mieszkają. Zawieszono go na prawej ścianie kaplicy.

Ostatnio obraz ten przekazano do Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu. Wymaga on, podobnie jak obraz św. Anny poddaniu renowacji, której przeprowadzenie przekraczało możliwości zarówno obecnych parafian jak i Klubu. Po konsultacjach z Kurią postanowiono przekazać go Muzeum, gdzie po zabezpieczeniu będzie oczekiwał na poddanie go zabiegom konserwatorskim.

Ks. Tuzinkiewicz otrzymał od ks. Piszczenia jeszcze jeden obraz — wizerunek Najświętszego Serca Pana Jezusa. W liście do mnie tak pisał: „(...) ja miałem to szczęście w najbliższy pierwszy piątek po mojej prymicji, właśnie przed tym obrazem odprawić Mszę św., więc też ks. Piszczeń spełnił moją prośbę i podarował obraz mojemu kościołowi św. Stanisława we Wrocławiu, gdzie byłem proboszczem. Działo się to w latach pięćdziesiątych”. Tłumacki obraz jest tu umieszczony w prawym ołtarzu bocznym. Warto może w tym miejscu przypomnieć, że wrocławski kościół św. Stanisława, Doroty i Wacława, bo taki jest jego pełny tytuł, został ufundowany przez cesarza Karola IV z okazji jego spotkania z Kazimierzem Wielkim, ma więc od swego zarania pewne polskie tradycje. Nie wykluczone, że polski król wziął udział w uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego. W pierwotnym tytule na pierwszym miejscu postawiony był św. Wacław, po nim św. Dorota, a na trzecim św. Stanisław. Poprzez tytuł starano się podkreślić łączność świątyni z trzema grupami ludności zamieszkującymi wówczas Dolny Śląsk. Od roku 1946, ze względu na zmianę struktury ludnościowej, szczególną czcią zaczęto otaczać św. Stanisława i z tych powodów na pierwszym miejscu w tytule postawiono tego Świętego.

W powojennej odbudowie tego pięknego kościoła największe zasługi ma pierwszy polski proboszcz, ks. Kazimierz Lagosz i jeden z jego następców, ks. Tuzinkiewicz.

W kościele tym jest jeszcze inny obraz z Kresów — wizerunek Matki Bożej Nieustającej Pomocy z Białoehorszczy koło Lwowa, przywieziony przez ks. Tuzinkiewicza z kościoła jego pierwszej parafii.

A tłumacki kościół, w ostatniej fazie wojny trafiony bombą, z częściowo zniszczonym prezbiterium, nie remontowany, coraz bardziej popadał w ruinę. W latach siedemdziesiątych dzieła zniszczenia dopełniła decyzja władz sowieckich nakazujących wysadzenie go w powietrze. Pozostałe resztki rozebrano.

W miejscu, gdzie stał, wybudowano kino o nazwie „Jubileuszowe”. Trudno dziś dociec, jaki jubileusz miało uczcić.

W czasie rozbiórki kościoła jedna z nielicznych pozostałych w Tłumaczu Polek, pani nosząca rodowe nazwisko Kubryniewicz, odkupiła od robotników wspomniany obraz MB Częstochowskiej, wiszący przez lata na zewnętrznej ścianie prezbiterium. Przed tym obrazem, choć w znacznym już stopniu pozbawionym polichromii, w czasach komunistycznych miejscowi katolicy odprawiali w tajemnicy w stodole modły. Obec-

nie znajduje się on w kościele p.w. Chystusa Króla w Stanisławowie. Przybywająca wycieczka Tłumaczan w 1993 roku otrzymała go od p. Kubryniewiczowej i z dużymi trudnościami (z uwagi na rozmiary) przewiozła ostatni ten obraz do kościoła polskiego na Górcę w Stanisławowie.

Zostały też tam oddane drewniane figury z szopki, które 45 lat leżały na strychu, oczekając widocznie na przybycie dawnych mieszkańców Tłumacza. Figury również zostały im oddane przez obecnych mieszkańców.

Jakże inny los spotkał ocalone i przewiezione do Polski Obrazy z tłumackiego kościoła. Podzieliły one los Polaków przesiedlonych z Tłumacza. Trudy życia w nowych miejscach nie zasłoniły umiłowania do symboli swej wiary i towarzyszą one tłumaczanom otoczone należytą czcią i troską.

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Wiadomo, będą wywozić naszych Ojców z Tłumacza. Matka pośpiesznie przygotowała żywność do przekazania mu, ale tymczasem dał się słyszeć przeraźliwy krzyk najmłodszej siostry Cesi, która przypadkiem była na ulicy. Krzyczała: Tatku, Tatku! A on pojechał w odkrytym, załadowanym samochodzie, pełnym więźniów.

Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mego życia

ANNA PANACHIDA-BOCHEŃSKA

Chcę zacząć pisać od najjaśniejszych chwil, gdyż o tych ciemnych nie pisałabym nigdy!...Opisuję ten jasny czas tylko dlatego, ażeby ten ciemny był ciemniejszy od czerni. Piękny i jasny czas to mój dom rodzinny, którego już nie zobaczyłam nigdy. Najbardziej utkwiły mi w pamięci Święta Bożego Narodzenia, których wspomnienie do dziś ogrzewa moją duszę.

Był rok 1938. Jak w każdym roku wybieraliśmy się z ojcem na pasterkę. Rodzina nasza składała się z czwórki dzieci, ojca i matki. Najstarszy był brat Stanisław. Następnie kolejno rodziły się siostry: Józefa, Anna (to ja) i Czesława. Ostatnia pasterka, która na zawsze utkwiła mi w mojej pamięci, to obraz cudownego śnieżnego pejzażu. Ojciec budził brata oraz nas obie i w wielkiej ciszy ubieraliśmy się, ażeby nie obudzić najmłodszej siostry Czesi. Siostra była zbyt mała, ażeby brać udział w pasterce. Zimy na wschodzie były śnieżne i mroźne. Matka zostawała z nią w ciepłym łóżku. W drodze do kościoła padał śnieg. Cóż to był za śnieg. Piękne duże płatki padały cicho, otulając cały krajobraz nieskalaną bielą. Drogą podążały sanie z odległych miejscowości, a w tej ciszy, w tym śniegu dźwięczyły dzwonki przypięte do sań. Wszyscy podążaliśmy do kościoła.

Bramy kościoła były szeroko otwarte, wewnątrz jarzyły się wszystkie światła, a wierni razem z księdzem E. Tabaczkowskim i organistą zaczęli kolędę „Wśród nocnej ciszy”. Ta kolęda płynęła poza mury kościoła i kołysała się wśród tych białych płatów śniegu, a słychać ją było daleko, aż w końcu ucichła, jakby usnęła...Nie! — Ona nie usnęła, ona śpiewa we mnie do dziś!

Dom był pełny zapachu choinki, było syto, ciepło, przytulnie i bezpiecznie. Ulubioną kolędą ojca była: „W dzień Bożego Narodze-

nia”, a matki „W żłobie leży”. Śpiewając siedziała przytulona do pieca, głos miała spokojny i ciepły. Nadszedł Nowy Rok 1939.

Wydawało się, że to będzie rok jak każdy inny, ale wszystkie znaki na niebie i na ziemi zaczęły zapowiadać wojnę. Przygotowywałam się z bratem do egzaminów. Ja do I klasy gimnazjum, a brat zdawał do I licealnej. Najstarsza siostra była w II klasie gimnazjalnej, a najmłodsza Cesia szła do pierwszej klasy podstawowej. Lato było upalne, a za latem nadszedł pamiętny wrzesień i wojna. Kopaliśmy schrony, oklejaliśmy szyby, na drogach pojawiło się nasze wojsko i uciekinierzy, którzy podążali w kierunku Rumunii. Staraliśmy się dostarczać im żywność i cywilne ubranie. Było bardzo smutno.

Ojciec wiedząc, że ma broń w domu, musiał ją ukryć. Leży do dziś tylko nam w wiadomym miejscu. Pamiętam szablę, na której był napis: „Nie rzucim ziemi skąd nasz Ród”. Łamiąc ją ojciec płakał.

To były ostatnie dni naszej ukochanej wolnej Polski. Ze wschodu nadciągały sowieckie czołgi, które dudniły ulicami, niosąc ze sobą specyficzny zapach sowieckiej benzyny i zapach umundurowanych żołnierzy. Ojciec spoglądając na czołgi i uzbrojone wojsko sowieckie, powtarzał: „po cóż to tyle żelaza na tak słabego człowieka? A była to II wojna w jego życiu. Żniwa zbliżały się ku końcowi. Zapasy na zimę gromadziło się jak w każdym roku, nie przypuszczając, że nie będziemy z nich korzystać. Pewnego dnia przyszedł znajomy Ojca pan Sabatowicz i z płaczem prosił, ażeby opuścić dom rodzinny i jak najszybciej ukryć się, ponieważ będą aresztowani. Matka przerażona, z przygotowaną odzieżą błagała Ojca, ażeby posłuchał. On oświadczył, że nikogo nie zabił i że nie zostawi rodziny na

pastwę losu. Następnie wypadki potoczyły się jak groźny, wartki potok. Między 2 i 3-cią w nocy usłyszeliśmy dudniące kroki pod oknami i ujadanie psa, który był na uwięzi. Stukanie kolbami w drzwi zmusiło ojca do wypuszczenia nieproszonej gości. Wszystkie dzieci musiały siedzieć razem w jednym kącie. Drżałyśmy jak liście na wietrze. Matka nieprzytomna ze strachu, ojciec pilnowany przez sowieckiego żołnierza NKWD i zaczęła się rewizja. Dom obstawiony był przez miejscowych Ukraińców (Łucyk, Soroka i in.). Po rewizji kazali ojcu się ubrać. Gdy opuszczał mieszkanie, zaczęłyśmy płakać, on odwrócił się i rzekł: nie płaczcie dzieci, ja wrócę. Potem nadszedł czas noszenia żywności do więzienia. Trójka starszych dzieci, między którymi byłam i ja, uczęszczaliśmy do gimnazjum. Szkoła mieściła się w parku, a tuż za parkiem było więzienie. Idąc do szkoły zabieraliśmy śniadanie ojcu. Po odebraniu pustych naczyń, w domu sprawdzałyśmy bardzo dokładnie, czy jest papierowy korek w butelce, w którym przekazywane były wiadomości od Taty.

Penego dnia, stojąc we trzy pod bramą więzienną i przez dziurkę od sęku zobaczyliśmy ojca. Szedł z wiadrami do studni po wodę, która mieściła się obok bramy, zabudowana całkowicie deskami. Nie wytrzymałyśmy. Im bliżej podchodził do bramy, tym większa wstępowała w nas chęć, ażeby zobaczyć się z nim. Stało się. Pchnęłyśmy bramę, która o dziwo nie była zabezpieczona po odwrotnej stronie i jednogłośnie krzyknęłyśmy Tatu! Ojciec zachwiał się i podniósł głowę. To było ostatnie niedozwolone widzenie się, z tą tak bliską i drogą osobą. Jeszcze przy studni próbował porozmawiać i zapytać jak dajemy sobie radę, ale żołnierz sowiecki, który już poprzednio nas skrzyczał, poprawił swoje brzydkie przekleństwo i na tym zakończyła się tego dnia wizyta pod więzieniem.

Życie nasze toczyło się między szkołą, więzieniem i domem. Brat Stanisław stanął na wysokości zadania. Dostarczał opał, o który było coraz trudniej. Odrzucał śnieg, za pomocą pługa przez siebie zmontowanego. Trzeba wspomnieć, że ojciec przed wybuchem wojny, bardzo często uczył go wykonywać inne zajęcia, nie związane ze szkołą. Przy pracy powtarzał: pamiętaj jesteś najstarszy i musisz umieć wykonywać różne prace, w chwili kiedy mnie zabraknie. Tak też w niedługim czasie się stało. Wieści o przesłuchaniach naszych bliskich dochodziły coraz potworniejsze. Scena z przesłuchania odtworzyła mi się we śnie. Dokładnie widziałam ojca okrutnie zbitego, skulonego, chodził wokół domu rodzinnego patrzył w okno. Widziałam dokładnie tego, co się znecał nad ojcem, był niskiego wzrostu, blady na twarzy, na której nie było cienia człowieczeństwa. Ten sen utkwiał mi bardzo mocno w pamięci, wydaje mi się, że poznałabym tego człowieka wśród tysiąca innych ludzi, nawet dziś.

W październiku ktoś dał znać rano, że pod więzieniem stoi ciężarowy samochód z ławkami. Wiadomo, będą wywozić naszych ojców z Tłumacza. Matka pośpiesznie przygotowała żywność do przekazania mu, ale tymczasem dał się słyszeć przeraźliwy krzyk najmłodszej siostry Cesi, która przypadkiem była na ulicy. Krzyczała: Tatu, Tatu! A on pojechał w odkrytym, załadowanym samochodzie, pełnym więźniów. Wracając ze szkoły podszedł do mnie Zbyszek Jeżowski i powiedział: dziś wywieźli twego ojca do Stanisławowa. O, jakże to było smutne. Gdy weszłam do domu, matka wiedziała, że wiem już o tym. Przytuliła mnie do siebie. Płakałyśmy obie. Powiedziała wtedy do mnie: dziecko, nie masz już ojca.

Zaczęło się wożenie żywności do Stanisławowa. Następną ofiarą aresztowania w naszej rodzinie był brat matki, Leon Burczyński. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia w 1939 roku. Brat Staszek robił wszystko, ażebyśmy nie byli sami w czasie wigilii. Były święta pełne smutku i rozpacz. Wigilię spędzaliśmy wspólnie z rodziną wujka. Przy spotkaniu nie obeszło się bez łez i najświeższych wiadomości o naszych bliskich. Z początkiem 1940 roku zakwaterowano w naszym domu 30 żołdatów sowieckich, od których wionął nieprzyjemny zapach. Często odwiedzał nas ich opiekun „komandir”, który rzecz dziwna odnosił się do nas z jakąś prawie zyczliwością.

cdn

Nasza wycieczka do Kazachstanu w dniu 13 kwietnia 1940 r.

ANTONINA GABAŃSKA-HANUS

W lutym 1940, kiedy to były pierwsze transporty-wywózki, zabrali mnie ze wsi Zagórze Polskie (część Bratyszewa, pow. Tłumacz), Kolonia Mazurów. Byłam tam, bo odwiedzałam znajomych, gospodarzy-rolników, Mazurów, Dypczyńskich, z którymi się przyjaźniłam.

Przyszli w nocy, kazali się pakować. Zwrócili na mnie uwagę, że do wsi nie należę. Sołowij, Ukrainiec, który był z nimi, a którego wypuścili z Berezy Kartuskiej, na ich zapytania kto ja jestem, powiedział, że to córka inżyniera mierniczego powiatowego i dodał: jej ojciec jest dobry, to taki chłopski pan, który chłopów lubi. Nad ranem podjechały „podwozy”, sanie, którymi mieliśmy jechać na stację kolejową w Tłumaczu. Zganiają nas razem. Akuratnie zachciało mi się pójść do „wygódki”, to jeden z ich oficerów poszedł ze mną, nie chciał się odwrócić, więc pod „naganem” musiałam „urzędować”. Wróciłam do ludzi zgonionych razem. Płacz kobiet, dzieci, niemowląt, ba, nawet mężczyzn — to jest nie do opisanias!

Wstręt i pogardę wzbudziła we mnie moja koleżanka ze szkoły Stacha Dąbrowska, która pod rękę trzymała dwóch oficerów rosyjskich i śmiejąc się i zalecając do nich, powiedziała do mnie: „Tosiu, tak walczy się z wrogami”. Aż szkoda, że miała takie ładne nazwisko. Splunęłam na nią i wtedy „bojec”, dosłownie, wrzucił mnie na sanie pełne ludzi. Konie ruszyły i pojechaliśmy do Tłumacza. Przed naszą uliczką chciałam wysiąść, ale „naganem” przytrzymali mnie na saniach. W połowie ulicy Słowackiego, zobaczyłam tylko jedną osobę, Ninę Zoubek. Krzyknęłam: Nino, powiedz mamie mojej, że mnie zabrali. Ona zaraz zawiadomiła matkę i sowietkę z NKWD, której dali w naszym domu 2 pokoje na górze. Trzy razy uwalniała mnie od tej wywózki, trzy razy wracałam tam i nazad, ze stacji do domu i odwrotnie. Wróciłam jednak do rodziny, ale wiedziałam, że nas wywózka nie ominie i tak się stało.

Od stycznia dochodziły do nas pogłoski o wywożeniu. Cała zszokowana rodzina na gwałt szyła plecaki, pakowała manatki, a tu cicho, spokój. Komu to było potrzebne z plecaka, a innemu co innego i tak po kawałku rozłaziły się graty z tobołków. Wtedy właśnie przyszli, o godz. 2 w nocy, zbudziło nas walenie do drzwi, ale to tylko nasza „lokatorka” z przyjezdnych, z góry, wracała z „hulania”. O godz. 3 w nocy, równocześnie powiedzieliśmy „to już”, gdy delikatnie, normalnie ktoś do drzwi zapukał. Weszli, spędzili wszystkich w jeden ką, zrobili rewizję, zdaje się po raz trzeci czy czwarty, kazali pakować manatki.

Babci (77 lat) zrobiło się słabo, Maryś malutki (18 mies.) rozbudzony w nocy zaczął płakać, kram i bałagan po rewizji okropny i pakuj się! Każdy łapał co mu pod rękę wpadło. Dali nam 2 godziny czasu, sama „góra” u nas była. Byli grzeczni, układni a my zrobiliśmy im niespodziankę: śpiewaliśmy „Kiedy ranne”, „Serdeczna Matko” i „Nie rzucim ziemi”. Potem siostra Hanka usiadła do pianina i przegrała wszystkie walce Chopina. Zupełnie ta „góra” pogłupiała.

Potem pożegnaliśmy nasz kochany dom, psa, krówkę, każdy wziął garść ziemi ojczystej, ucałował dom, pracę całego życia naszego ojca i ruszyły konie z rzeczami, a my — wygnańcy — z tobołami i rozmaitymi kawałkami sprzętu kuchennego, za nimi.

Za nami zostało wszystko! Dom, praca nasza, bo po wdarciu się ich do Polski, ja i Hanka zarabialiśmy szcieniem, za co kupowało się mąkę i ziemniaki — wszystko co do życia potrzebne. Kilimy pozwolili nam zabrać i to w ostatniej chwili. Bielizna prawie wszystka została — była zwinięta do magła, zapomniano się o niej. W tym zamieszaniu, bałaganie trudno było do czegoś trafić, tym trudniej, bo gnieździliśmy się, aż 17 sztuk w dwu pokojach i kuchni. Połowę naszego domu tj. 2 pokoje i kuchnię, oddaliśmy do zamieszkania pani Jeżowskiej, która miała dwóch synów i siostrę.

Na stacji zapakowali nas do wagonu, jedyną mąkę pozwolili zabrać (60 kg nulki), wzięli do „pak-wozu” i więcej już jej nie widzieliśmy. Zatrzasnęli drzwi wagonu. Ciemno, duszno, dopiero po chwili otworzyli jedno zakratowane okienko. Wagon był łączy, po każdej stronie „piętra”, na środku „wygódka”. 32 osoby — mieszane towarzystwo. Wlaź człowiek na „piętro”, nos przytknął do krat. Przywożą innych znajomych. Na stacji kolejowej w Tłumaczu, dobrzy ludzie zaczynają znosić mleko, herbatę, sucharki dla dziecka. Tyle nam poprzynosili, że aż się oprawcy dziwili. 2 worki chleba już tam na miejscu jedliśmy go — dziady! Świece niedopalone przynieśli z kościoła, bo innych w sklepach nie było. To nas „ruszyło”. Targnęło coś człowiekiem, łyzy przysłoniły wszystko. Ból, rozpacz i to okropne uczucie bezsilności! Przyszło mi na myśl wspomnienie z Zakopanego, kiedy to byłam małą dziewczynką, jak zawsze płakałam ilekroć widziałam wózek zakratowany z psami złapanymi przez rakarza. Obudził mnie z tej rozpazy, gwizd, szarpnięcie pociągu i — „Jeszcze Polska”. A potem „Kto się w opiekę”, „Pod Twą Obronę” — i łyzy, łyzy... Nie wiem skąd ich się tyle mogło wziąć!

Potem sami odbiliśmy inne trzy okna, żeby jeszcze nasycić, ucieszyć widokiem, oczy, naszej ziemi.

Między stacjami, w polu, tłumy ludzi Ukraińców też z chlebem, dobrym słowem, bólem i pierwszymi kwiatkami, śnieży czkami. Piszemy kartki do swoich najbliższych, rzucamy przez okna, wiemy że doszły.

W naszym wagonie była cała nasza rodzina, a więc: babcia, mama, bracia: Janek, Broniek, Tadzik, Staszek i Jędrrek. Z sióstr: Hanka, ja (Tosia), Marysia Janicka z synkiem (18 mies.) Marysiem i Krzysia. Oprócz nas, była S. Maliszowa i jej wychowanka, Aniela Hasiuk, Zosia i Marian Piotrowicze, ta cała grupa stanowiła jedną rodzinę, bo Piotrowiczów, którzy stracili ojca (policjant) włączyliśmy do rodziny. Prócz naszej tej nowej rodziny, była Liza Boniowska (nie znam jej nazwiska po mężu) z niemowlęciem. Utkwiła mi w pamięci postać Chrzanowskiej z córką Krystyną, bo jak ludzie podbiegali z mlekiem do wagonu, ona, matka, odtrącała nas od okna i wydierała mleko, aby jej córka myła w nim twarz, bo to dobre na cerę. Córka jej miała kilkanaście lat. Byłam przekonana, że to zwariowana kobieta, ale okazało się, że jest przy zdrowych zmysłach. Wprost nie do uwierzenia! W wagonie dwoje małych dzieci, bez mleka, jedynego możliwego pokarmu, a tutaj dba się o cerę. Ot, są ludzie i ludziska!

Było nas wszystkich w wagonie 32 osoby, ale innych nazwisk nie pamiętam.

Jedziemy dalej, Czortków — kolega szwagra Janickiego, był na stacji i przypadkiem, nasz wagon stanął przed nim. Marysia pyta o rodzinę męża. Zna ich, biegnie dać znać. Jest godzina 24. Przynosi mleko, pieniądze, ojca szwagra na peron puścić nie chcieli. Husiatyn — pierwszy i ostatni raz, pozwolili pójść pod wagony, zaczerpnąć „świeżego powietrza”. Teraz przesiadka do „pudełek”. Jeszcze ciaśniej tylko okienka większe. Zbrucz, przewrócony słup graniczny, obca ziemia! Nie ma słów na ten ból straszny i znów — Nie zginęła”, a oczy gonią to, co zostaje za nami, co wydarło! A potem wrogie twarze, gdzie niegdzie widzisz skurcz na twarzy ciekawych co do toru podbiegają, widzisz krzyż za tobą ukradkiem nakreślony i widzisz nędzę. I to już cały czas, ale tu nie widzą naszego bólu, tu śpiewamy krakowiaki i inne wesołe piosenki, to musi podtrzymać nas na duchu, nie damy się złamać. A jeśli ktoś ukradkiem podejdzie z uśmiechem życzliwym, mówimy mu o tym jak tam u nas było, są tacy co tam byli gdzie jedziemy — i płaczą.

Przed Uralem rzucamy psu (sama skóra i kości) zeschniętą skórę chleba. Ludzie tamtejsi rzucili się, odgonili psa i bili się o ten zeschnięty chleb, smutny kraj.

Potem Ural — zimno, wiatr niesie tumany czarnego pyłu, pełno go wszędzie. I w „kipiatoku” i w zupie „szczy”, którą nam dali 2 razy w ciągu dwu tyg. podróży. Potem zima i śnieg i tak już do końca. Pociąg stanął w zaśnieżonym stepie. przeładujemy się do aut ciężarowych, Widzimy, że jedne jadą w jedną stronę, inne w drugą. Nasze auto i jeszcze inne podejżdżają do walącej się lepianki. Tu mamy „tymczasem” mieszkać, ale na drugi dzień zabierają nas tj. tylko naszą „skleconą rodzinę”, na inny posesiołek. Tutaj mieszkamy dwa tygodnie, kątem 16 sztuk w jednej izbie. Chleb, który nam poznosili tłumaczanie, jeszcze na stacji kolejowej w Tłumaczu, skończył się, dostać go nie można, głód dokucza. Dają robotę w ogrodzie „kołchozowym” i nic więcej, żadnej zapłaty.

Po dwóch tygodniach dzielimy się na grupy, trzy partie i przenosimy się sami /za zezwoleniem „władzy”/ na sąsiedni posesiołek. Zapasne. Hanka dostaje pieniądze od przyjaciela z Litwy i kupuje nam „lepiankę”, jedna izba i kuchenka dla nas, 17 osób.

W tej lepiance spaliśmy „na waleta” na podłodze, tylko Jędrrek miał wygodne miejsce, pod stołem, a ja jako „wiórko” spałam na stole. Na głównej ścianie wisiał obraz, który zabraliśmy z domu: Matki Boskiej Częstochowskiej. Oddaliśmy się pod jej opiekę. Haczyk od bramki naszej, z naszego domu, też wisiał na ścianie, bo tu nie było czego zamykać. Pracą w ogrodzie kołchozowym i szcieniem zarabialiśmy na jakie takie wegetowanie. Chłopcy-bracia pracowali na stepie.

Do dziś stoi mi obraz przed oczami, jak w Troicku, z wagonu wywołali brata Janka, z innego wagonu innego mężczyznę do wynoszenia zwłok ludzkich, którzy umarli w transporcie. Daliśmy grudki ziemi zabranej z Ojczyzny, tyle co mogliśmy zrobić. Do dziś, każdy z nas ma tą drogą „Grudkę” i kto z nas umiera, dostaje ją.

Acha, muszę jeszcze nadmienić, że ten mężczyzna, który spełniał bardzo ciężki i smutny obowiązek z moim bratem, jest moim mężem. Ojciec mojego męża zmarł na „posesiołku”. Ponieważ był to luty, nie było mowy o wykopaniu mogiły. Pochowany, raczej w śniegu niż w ziemi, wilki z tego skorzystały, koszmar!

Tłumacki Holocaust

Wyjątki książki „Sprawiedliwi — prawi nie Żydzi”

SAMUEL BLAND

Przedmowa — Ephraim Schreider

Każda epoka tworzy, aktualizuje i odnawia pewne pojęcia i określenia. Okres pohitlerowski stworzył zaszczytne odznaczenie — Prawi nie — Żydzi, (albo jak organizacja Yad Vashem nazwała: „Prawi między Narodami”) — Righteous Gentiles. Byli to zwyczajni mężczyźni i kobiety, którzy w tych strasznych i okropnych czasach słysząc krzyki torturowanych Żydów, swoich sąsiadów — pomagali im i ukrywali ich, niepomni kary śmierci, jaka za to groziła.

Tępieni Żydzi znajdowali miejsce, kąt w oborach i stodołach wieśniaków, w schronach między ścianami, w rozpaczliwym wysiłku żeby przeżyć mimo skazania na zagładę.

W warunkach zwykłego niebezpieczeństwa ratowania człowieka byłoby naturalnym, zrozumiałym wydarzeniem. Ale „ratowanie” — w okresie tych tragicznych dni, miało inne znaczenie i wythumaczenie. Może było to zwyczajne, lub wygrana w loterię, albo Opatrzność Boska, która usiłowała ratować i chronić ludzi przed pomysłem zupełnego unicestwienia „człowieka”, zagłady rasy ludzkiej, zesłanego na najniższy poziom barbarzyństwa.

W tej Sodomie zagłady byli jednak też ludzie prawi. Dzięki nim świat nie spodlił się. Oni zrehabilitowali ludzkość. Pomaganie i ukrywanie Żydów w tym nowożytnym „ponurym wieku”, jest o podwójnym znaczeniu: sprawa ratowania Żydów była czemś do czego nie zawsze wszystkie narody świata dążyły.

Okres hitleryzmu nie stworzył człowieka wybitnie uduchowionego, któryby tak jak poeta Adam Mickiewicz zwracał się do Narodu Polskiego: „Pozwólcie Polakom pościć 9-tego Ab. Pozwólcie Polakom przyjść w nocy 9-tego Ab do żydowskiej synagogi, recytować lamentacje i opłakiwać Zion. Pozwólcie im wszystkim wziąć udział w smutku Żydów za utraconą ojczyznę i państwem narodowym... Pozwólcie towarzyszyć w smutku narodowi żydowskiemu, równie głębokim, jakim był w pierwszym roku po zburzeniu Świątyni. Nie chciałbym, aby Polska pozostała bez Żydów” (wyjątek z cytatów w książce „Between Two World Wars” — Między dwoma wojnami światowymi, przez dr Heshil Klepfish).

W tych diabelskich czasach kiedy gestapowcy czatowali, żeby złapać żydowskie dziecko w kryjówce, lub wyciągnąć z tamtąd starych Żydów, kiedy krematoria pracowały intensywnie paląc żywych i martwych Żydów, kiedy grzechot karabinów maszynowych oznaczał wpadanie Żydów do grobów, które przedtem sami wykopali, a krzyki torturowanych więźniów unosiły się ku pochmurnemu, ciężkiemu niebu — czy wtedy mogła być większa łaska — dobrodziejstwo — jak podanie kropki wody, skibki chleba, albo pozwolenie Żydom na położenie zbolatego ciała na wiązce słomy. Nie była ważna przyczyna dla której ten lub tamten Polak, Ukraińiec, Rosjanin czy Jugosłowianin, a nawet kilku Niemców to robiło, z litości, z emocjonalnego uniesienia sumienia, ważne jest, że zrobili to wiedząc jakie za to mogą ponieść konsekwencje. Kto jest w stanie zrozumieć i ocenić tajemnice ludzkiej natury w takich niezwykłych okolicznościach? Ludzie nauki, znani wśród nich pisarze — woleli nie wiedzieć, nie słyszeć co się dzieje. Inni służyli diabłu, ale dawni anty—semici przejęci grozą tragedii w której znaleźli się Żydzi załamali się i pomagali Żydom. W tej książce jest przykład na to, który opisuje Blond: „ks. Tabaczkowski znany w swoim środowisku

jako nie będący przyjacielem Żydów, pomagał Żydom wydając fałszywe metryki urodzenia i za to zapłacił własnym życiem”.

Autor tej książki dobrze zrobił wydając ją, sam był świadkiem okrucieństwa Zagłady, stracił połowę swej rodziny (2 synów) i ocalony został, dzięki ukryciu go przez polskiego wieśniaka, uważał za konieczne opisanie — chwając je — tych wszystkich z rodzin chrześcijańskich, które ratowały Żydów. Niech wszyscy, którzy są wymienieni w tej książce zwracają się do świadomości ludzkiej, przypominając wszystkim, że muszą pozostać ludźmi w każdych okolicznościach.

Żydzi nie zapomną — nie mogą zapomnieć i przebaczyć tym zbrodniarzom, ale też nie zapomną o łasce tych ludzi, którzy w tych tragicznych dniach stale pamiętali, że są stworzeni na podobieństwo Boga.

Stanisław Krzemiński

Przed II wojną światową, Polak, Stanisław Krzemiński mieszkał z żoną Hanną, koło Tłumacza, niedaleko lasu Jacówka. Była to porządna, przyjacielska, przyjazna Żydom rodzina. Nie zważając na terror niemiecki i zagrożenie własnego życia, przechowywali w swym domu 7 osobową rodzinę miejscowych Żydów Sprechmanów. W uznaniu dla tej polskiej rodziny, im poświęcam ten pierwszy rozdział serii: Righteous Gentiles — Prawych nie—Żydów, w tej książce.

Matka mojej żony, Ethel — teściowa, żona Eliezara Sprechmana, żyła razem z żonatym synem Percem, jego żoną Fanke, ich 2-letnią córką Hanną (Niną) i młodszym synem Hirszem (Henek) w tej samej wiosce. Mieli własną posiadłość, 25 hektarów pola ornego, sad, obszerne z kamienia zabudowane stajnie, obory, kilka koni, krowy i nowoczesne maszyny gospodarcze, rolnicze do prowadzenia farmy. Pracowali sami, bez wynajętych robotników, żyjąc skromnie, ale wygodnie.

W Tłumaczu mieszkali moi krewni, brat żony Izrael i jego żona Loke (była również i moją kuzynką), siostra żony Maria i jej mąż Mosze Zisser. Moja żona, ja i nasi dwaj synowie Abraham (Boniu) i Jossel (Józio), mieszkaliśmy aż do wybuchu II wojny światowej w Tarnowie. Tarnów był poddany ciężkim bombardowaniom przez samoloty niemieckie już na początku wojny niemiecko-polskiej. W mieście powstała panika. Żydzi przeczuwali przykrości w trudnej do przewidzenia przyszłości. Setki przerażonych Żydów znalazło się na ulicach. Ich pytające spojrzenia zdawały się mówić: „Czy to wszystko prawda? Czy właśnie jesteśmy świadkami następnej strasznej epoki w naszej historii?” Wszyscy ludzie natychmiast zaczęli uciekać. Samoloty niemieckie bombardowały ulice sięjąc zniszczenie i śmierć. Tutaj widać było słabość, uważanego za silne, i dobrze uzbrojone Wojsko Polskie, dumę Narodu. Oceniając sytuację postanowiłem wraz z rodziną dołączyć do uciekających i opuścić Tarnów. Jakikolwiek inne rozwiązanie wydawało się beznadziejne.

5 września 1939 r., t.j. piątego dnia wojny, wyruszyliśmy pozostawiając nasz dobytek i zabierając tylko dwa plecaki z najpotrzebniejszymi rzeczami. Poszliśmy piechotą — kierując się do Tłumacza. Trzymaliśmy się bocznych dróg, przez pola i wioski. Główne drogi były zawałone wycofującymi się polskimi żołnierzami i jeńcami i były stale bombardowane przez Niemców.

Po 2 tygodniach przybyliśmy w okolice Tłumacza, przechodząc

około 400 kilometrów, skierowaliśmy się do rodziny mojej żony w Jackówce. Zakończyliśmy naszą wędrówkę między świętami żydowskimi Rosh Hashana i Yom Kippur. Na tych terenach była już administracja sowiecka i wojsko sowieckie. Po pewnym czasie otrzymałem pracę w Tłumaczu, w swoim zawodzie — buchaltera i zamieszkałem z rodziną w mieście. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. wkrótce Niemcy weszli do Tłumacza. Raz jeszcze razem z rodziną szukałem schronienia w Jackówce. Dołączyli do nas mój brat Izrael z żoną i nasza siostra Mania z mężem i niedawno urodzonym dzieckiem.

W 1938 r. kiedy zmarł bez testamentu mój teść, cały jego majątek został podzielony między wdowę i jej 5 dzieci. Po tym podziale majątek składał się z 6 małych gospodarstw.

Od września 1939 do czerwca 1941 r. kiedy byli Sowietci, gospodarstwa pracowały wspólnie jako jednostka gospodarcza, chociaż w rejestrze własności były odnotowane jako 6 gospodarstw — i całe szczęście, bo Sowietci małych gospodarstw nie upaństwowili.

Po wejściu Niemców ten podział gospodarstw był także korzystny. Na początku Niemcy zezwalali zachować Żydom na wsi małe gospodarstwa, musieli jednak nosić na ramieniu opaskę z gwiazdą Dawida i ograniczono ich w poruszaniu się poza wioską.

W Jackówce i sąsiednich wsiach było około 30 rodzin żydowskich, sami rolnicy. Wszyscy pozostali na swoich gospodarstwach aż do sierpnia 1942 r., kiedy wszystkim Żydom kazano opuścić ich gospodarstwa i zostali umieszczeni w getcie w Tłumaczu. Ich własność przekazano kolaborantom we wsi.

Kiedy byliśmy jeszcze na gospodarstwie we wsi, z getta codziennie przychodzili do nas Żydzi prosząc o żywność dla swoich rodzin. Wbrew zakazom Niemców zaopatrywania getta żydowskiego w żywność, żaden Żyd nie opuścił naszego domu z pustymi rękami.

Nasz dom był położony przy drodze do Oleszy i lasu „Jacówka”. Tłumacz był po drugiej stronie lasu. We wsi zaprzyjaźniliśmy się z rodziną Krzemińskich. Co niedzieli idąc do kościoła przechodzili koło naszego domu. Pozdrawialiśmy się nawzajem serdecznie mimo ostrych zakazów kontaktowania się z Żydami. Nie spotykaliśmy się z sąsiadami — stosownie do zarządzeń niemieckich, ale ta rodzina odwiedzała nas wieczorem — w nocy na przyjacielską pogawędkę, informując nas co się dzieje wśród otaczającego Żydów społeczeństwa.

Przed wysiedleniem w sierpniu 1942 r. pracowaliśmy w polu, starając się uzyskać jak najlepsze zbiory, ponieważ musieliśmy oddawać kontyngenty Niemcom. Wszystkie gospodarstwa były pod ścisłą kontrolą niemieckich urzędników rolnych. Właśnie umieszczono tłumackich Żydów w getcie. Wkrótce zaczęły się łapanki. Każdego dnia słyszeliśmy odgłosy wystrzałów w getcie (byliśmy oddaleni tylko o kilka kilometrów od getta w linii powietrznej). Kiedy tylko słyszeliśmy strzały, ukrywaliśmy się dla bezpieczeństwa w lesie.

Niemcy postanowili getto tłumackie zlikwidować, w letnich miesiącach 1942 r. Jednej niedzieli, wracając z kościoła w Tłumaczu — Krzemiński wstąpił do naszego domu. Powiedział — spokojnie — co stało się w mieście i w getcie. Załamującym się głosem powiedział nam, że getto zostało zdziesiątkowane, dzień po dniu. Żydzi, dosłownie znikają i to jest pewne, że nie ma ich już między żywymi. Zostaliśmy wstrząśnięci tymi wiadomościami. Zrozumieliśmy, że wkrótce przyjdzie na nas kolej. Siedząc z nami, nasz przyjaciel powiedział, że miał straszny sen: „Niemcy ładowali Żydów na ciężarowe samochody, wieźli, wieźli na brzeg (rzeki) i topili”. Serce mu biło w czasie snu, podnosząc oczy wołał: „Mario, Matko Boża”, wtedy ukazała się w czerwonej sukni i całą naszą (Sprechmanów) rodzinę, owinęła tą suknią.

Zbudziwszy się ze snu, nasz przyjaciel starał się znaleźć wytłumaczenie tego snu. Doszedł do wniosku: on ma opiekować się naszą rodziną w tym strasznym czasie: oznacza to, że św. Matka powierzyła mu uratowanie nas z rąk niemieckich. Teraz przyszedł nam to powiedzieć. Jeżeli będzie źle, powinniśmy przyjść do niego. Cała jego rodzina jest na to przygotowana. Spokojnie słuchaliśmy tego co mówił Krzemiński i dziękowaliśmy ze szczerą serca, ale w milczeniu modliliśmy się, żebyśmy nie musieli rozstąpić z jego uprzejmej propozycji.

Krzemiński był biednym gospodarzem, miał tylko 4 akry ziemi, mały 2-izbowy domek, jeden pokój jeszcze nie wykończony. On z rodziną mieszkał w jednym pokoju. Blisko jego domu była mała obora dla jednej krowy. Jego życie było rzeczywiście skromne i uczciwe. We wsi Krzemiński i jego żona byli uważani za bradzo pobożnych chrześcijan, wytrwali w swoich modlitwach, nigdy nie zaniebujących uczestnictwa we mszy św. Oni „rozmawiali z Bogiem”, żyli z sąsiadami w zgodzie, trzymali się z dala od dyskusji i byli uprzejmi dla każdego. Zawsze pierwsi mówili „dzień dobry”. Nikt nie pamięta żeby podnosili głos, w naszych licznych rozmowach z Krzemińskim wyczuwaliśmy podświadomie, że mógłby nam pomagać, gdyby doszło do kłopotów.

Kiedy tak rozmawialiśmy spokojnie, mój szwagier Perec zapytał się Krzemińskiego czy zgadza się na przyniesienie do jego domu ubrań, pościeli, bielizny i tem podobne. Krzemiński skinął głową i wstał, żeby odejść. Daliśmy mu trochę liści tytoniowych z naszej plantacji, które on zwinął w cygaro i opuścił nasz dom. W kilka dni potem Perec zaczął zanosić różne rzeczy do Krzemińskiego w nocy. Robił to ostrożnie, żeby nie zauważyli tego sąsiedzi. Będąc w domu Krzemińskiego omawiali razem co należałoby zrobić, gdyby sytuacja Żydów pogorszyła się. Perec uzgodnił z Krzemińskim, że na tyłach gospodarstwa Krzemińskiego wybuduje schron, w którym możnaby ukryć się, blisko lasu żeby nie było śladów, że jest tam ktokolwiek. Krzemiński łatwo się zgodził na budowę schronu, zwrócił też uwagę Percowi, żeby więcej nie przychodził do jego domu i w ten sposób nie był widziany przez sąsiadów. W jakiś czas potem Perec poszedł zobaczyć schron. Był gotowy — 2,5 metra długi. Krzemiński zbudował też w schronie 3 tapczany pozostawiając dosyć miejsca dla jednej osoby siedzącej. Schron przykryty był z wierzchu deskami na których rozsypano po wierzchu ziemię i zasadzono kwiaty — jak w ogrodzie. Wejście do schronu było sprytnie zamaskowane. Z zewnątrz nic nie wskazywało na to, że jest tam schron mieszkalny pod ziemią, w ogrodzie, blisko lasu.

W międzyczasie getto tłumackie się zmniejszało i było coraz bardziej puste. Pod koniec lipca, po żniwach przyszło od Niemców polecenie, żeby opuścić wieś i przenieść się do getta. Mieliliśmy się przenieść z początkiem sierpnia 1942 r. Mój szwagier Perec wysłał swoją żonę i dziecko do jej rodziny do Jazłowca, ponieważ Krzemiński nie zgodził się na umieszczenie dziecka w schronie: dziecko mogłoby zapłakać w nieodpowiednim momencie i stać się powodem zagłady wszystkich.

Moja teściowa, Mania i jej mąż i dziecko, moja żona i naszych dwoje dzieci — poszliśmy do getta, podczas gdy Perec, Henek i Izrael z żoną poszli do Krzemińskiego.

Warunki w getcie tłumackim były złe. Codzienne łapanki. Mężczyźni byli wysyłani do ciężkich robót poza getto, pod strażą uzbrojonej ukraińskiej policji.

Pierwszą ofiarą w naszej rodzinie był mój szwagier Mosze Zisser, mąż Mani. Pewnego dnia wyszedł do pracy i nigdy nie wrócił. Całą grupę 20 ludzi wzięto z roboty i wysłano niewiedomo gdzie. Maria z dzieckiem uciekła z getta i udała się do Buczacza, tam dołączyli do żony i dziecka Pereca, i jej rodziców.

W 2 tygodnie potem, mój starszy syn Abraham (Bunio), kiedy rano wraz z grupą innych robotników stał na apelu został wysłany do więzienia, i tego samego dnia z grupą 250 innych Żydów wysłany do Stanisławowa. Polacy, którzy obserwowali tę grupę Żydów zabranych w łapance donieśli, że zostali oni rozstrzelani i na miejscu pogrzebani w masowym grobie. Śmierć naszego syna była dla nas ciężkim przeżyciem. To nas załamało, jakby część nas samych zginęła. Długi czas opłakiwaliśmy go, ale zrozumieliśmy, że musimy być silni, jeżeli mamy przeżyć to co nas oczywiście czeka. Krzemiński działał. Dwa razy w tygodniu, albo częściej podchodził do ogrodzenia getta, żeby nas zawiadomić jak żyją ci w schronie. Ten kontakt z Krzemińskim bardzo był dla nas ważny. Kiedy powiedzieliśmy mu o tragedii naszego syna, doradzał nam próbę ucieczki z getta w nocy, pozostanie u niego przez noc i udanie się rano do Buczacza. Wielu Żydom udało się ucieczka z getta w Tłumaczu w podobny sposób i zatrzymali się w Buczaczu, gdzie

warunki dla Żydów były nieco lepsze. W mieście nie było zamkniętego getta. W kilka dni potem mój teść dołączył do innych w schronie Krzemińskiego, a ja, żona moja i syn pozostaliśmy w getcie. Następnego wieczoru Krzemiński czekał na nas przy ogrodzeniu getta, żeby zabrać moją żonę i syna Izka do schronu. Ja miałem udać się tam dzień później i potem pójść do Buczacza. Izek nie chciał iść z matką, tylko pozostać ze mną do następnego dnia. Nie mogłem stać przy ogrodzeniu getta i spierać się. Powiedziałem żonie, żeby poszła z Krzemińskim. Ja z synem Izkiem pozostałem, myśląc o tym, żeby następnego dnia uciekać, ale następny dzień nigdy dla Izka nie nadszedł. W nocy spaliliśmy w różnych pomieszczeniach, ponieważ było mało miejsca. Rano getto zostało otoczone przez liczne oddziały Niemców i Ukraińców. Nie mogłem dostać się do schronu syna i już go nigdy nie zobaczyłem.

To było ciężkie przeżycie. Całe moje ciało wstrząsały dreszcze. Co powiem żonie? Pomogła mi chęć życia. Razem z innymi powlokłem się w pole, po zagonach uciekałem i schowałem się pod kupą worków na ziemniaki. W milczeniu, tylko wargami wymawiałem modlitwę za zmarłych, za mojego syna. Trzęsąc się leżałem dopóki noc nie zapadła, wtedy wstałem i przez pola poszedłem do Jackówki. Mój szwagier zaprowadził mnie do domu Polki, wdowy Kobyłańskiej. Chciał mnie zabrać do Krzemińskiego, ale usłyszawszy o śmierci mego syna prawie zemdał.

Na noc poszedłem do schronu. Kiedy żona zobaczyła mnie samego, zrozumiała co się stało. Zaczęła rozpzczać i spędziliśmy noc lamentując, oplakując naszą stratę. Nie uspokoiło to nas. Następnego dnia spędziliśmy w stodole u Krzemińskiego. Następnego dnia Krzemiński zaprowadził nast. j. mnie, żonę i jej matkę na drogę do Oleszy i Horyhład, gdzie mieliśmy się przeprawić przez Dniestr i iść do Buczacza.

Wzdłuż brzegu Dniestru mieszkało wielu chłopów wyznania „Adwentystów dnia 7”. O świcie, albo w ciemnościach nocy przeprowiali Żydów przez Dniestr na swoich łódkach. W Horyhładach udaliśmy się do domu Żydów, których znaleźliśmy, trochę odpoczęliśmy i poszliśmy do Koropca, gdzie mieszkało kilka rodzin żydowskich. Stamtąd poszliśmy do Monasterzysk. Na skraju miasteczka spotkaliśmy Żydów uciekających przed łapanką, którą przeprowadzano właśnie w tym dniu. Do miasta weszliśmy w nocy. Ta nieszczęśliwa łapanka sprawiła, że było wtedy dużo mieszkań żydowskich pustych. Weszliśmy do jednego z tych domów i pozostaliśmy tam przez szereg dni. Były to już ostatnie dni września. Dzień lub dwa potem i reszta Żydów musiała opuścić Monasterzyska i udać się do Buczacza. Doszliśmy do Buczacza po ciężkich przeżyciach w czasie drogi. Łapanka na wielką skalę odbyła się w listopadzie 1942 r. Razem z żoną, jej matką i dzieckiem siostry Mani i 9 innymi Żydami ukrywaliśmy się w schronie. Ktoś zawiadomił policję o naszej kryjówce. Kiedy przyszłi, moja żona leżała przykryta ubraniami i bielizną. Żydowski policjant wysłany przez Gestapo żeby oczyścić schron napewno zauważył moją żonę, ale udał, że jej nie widzi. Wszyscy inni zostali zabrani na stację kolejową, skąd mieli być wywiezieni do Betza. Wiedziałem, że Betz — oznacza śmierć. Co za różnica jak zostaną zabity? W mieście będę mógł przynajmniej otrzymać porządną żydowski pochówek. Nie wszedłem do poczekalni dworcowej, ale obszedłem stację i zatrzymałem się za bramą. SS-man zobaczył to i krzychał: „Co ty tu robisz?” Dobrze po niemiecku odkrzyknąłem mu: „Ja uciekam stąd”. Ku memu zdziwieniu on otworzył bramę i krzyknął: „Uciekaj szybko”. Byłem pewny, że strażnik strzeli mi w plecy. Spadło wiele śniegu i zaczynała się noc. Miałem uczucie, że jestem bezpieczny, wydawało się to dziwne, nie do wiary. Myśli moje biegnęły jak w kalejdoskopie. Dobrze postąpiłem, ale co teraz mam robić. Najpierw muszę uciekać ze stacji. Poszedłem do gościńca, przekroczyłem go i uciekłem w pole po głębokim śniegu.

Wszedłem do lasu. Noc była ciemna, gdyby nie śnieg. Zrobiło się bardzo zimno. Całe moje ciało zamieniło się w sople lodu. Czuję się słabszy z każdą minutą. Niech się stanie — co ma być. Postanowiłem iść tak długo, aż znajdę dom w którym odtaję. Poprzez drzewa zobaczyłem z daleka ogień. Las się kończył. Światło pochodziło z domku chłopskiego i pobliskiej obory. Schroniłem się

w kącie obory, wiedziony zapachem siana, którym się przykryłem i natychmiast zasnąłem. Rano chłop przyszedł do obory, żeby nakarmić swoją krowę. Ten zobaczył mnie śpiącego, starał się mnie zbudzić, pochylając się nade mną ze zdziwieniem. Przestraszyłem się. Chłop zrozumiał moją sytuację, ale nie powiedział ani słowa. Prosiłem, żeby nie zawiadamiał policji o mnie. Prosiłem, żeby pozwolił mi odejść. On starał się mnie uspokoić, mówiąc, że nikt go nie zawiadomi, on Polak nigdy nie skrzywdzi tego, którego doświadczył zły los. Świat jest w ciemnościach — jak mówił — i ludzie kierują się ciemnymi instynktami.

Byłem zadowolony i zaskoczony, ale moje ciało drżało z zimna i przerażenia. Kto to jest ten chłop? Jak może on udzielić pomocy uciekającemu Żydowi w tych czasach? Nie zauważyłem kiedy wyszedł z obory. W kilka minut potem wrócił ze skibką chleba i kubkiem gorącego mleka. „Jesteś głodny” — powiedział zwyczajnie — „Pozostań tutaj i zachowuj się spokojnie, inaczej mogą cię zobaczyć”. Wydawało mi się, że śnię. Postanowiłem przeleżeć w stodole cały dzień. Wieczorem wziął mnie do chaty żebyśmy się ogrzała. W chacie małej, ale bardzo czystej była jego żona i dwójka małych dzieci. Ona dała mi jeść. Kiedy jadłem on położył na stole kawałek papieru z pismem jidisz: „miasto jest spokojne i mogą wracać bezpiecznie”. Chłop opowiedział mi, że przez wiele lat pracował jako woźnica dla Żydów w Buczaczu. Jego pracodawca przewidując, że może nadejść dzień w którym uciekający Żydzi mogą szukać schronienia w domu woźnicy, dał mu tę kartkę.

Tej samej nocy chłop swymi sankami przewiózł mnie do miasta: około 2 kilometry od naszego mieszkania. Żona moja była niespokojna, czekając na mnie. Ona i inni opuścili schrony teraz, kiedy w mieście był spokój. Ten wieśniak, Stanisław Winarowski to był szlachetny Polak. Bardzo mu dziękowałem i przyrzekłem, że nigdy w życiu go nie zapomnę i jego ludzkiej dobroci. Dałem mu pościel i sprzęty domowe pozostawione przez sąsiadów zabranych w łapance. Winarowski bardzo podziękował za dary i powiedział nam, żeby przyjsz do niego kiedy nadejdzie niebezpieczeństwo, a on da nam schronienie.

W międzyczasie powróciła z Jazłowca moja szwagierka Mania. Szukała matki i dziecka, ale one były już zabrane na pewną śmierć. Postanowiliśmy wysłać Winarowskiego do Krzemińskiego, żeby dać znać naszym braciom co się stało i czy będzie można ukryć się razem z nimi. Winarowski był tam i rozmawiał z Krzemińskim wrócił z wiadomością, że moja żona i jej siostra mogą być tam ukryte. Bracia zbudowali schron w styczniu 1943 r., pożyczili sanki i przywieźli Manię i moją żonę w ubraniach chłopskich do schronu. Ja zostałem przez pewien czas w Buczaczu. Kiedy zorientowałem się, że getto w Buczaczu ma być zlikwidowane, udałem się do Winarowskiego. On zrobił mi schron w stodole między krową a stertą siana i słomy, gdzie mogłem się schować. Tam spędziłem wiele tygodni. Krzemiński przyszedł z początkiem lata i zaprosił do swojego domu. Teren był „wolny od Żydów” i Niemcy pewni, że żaden z Żydów już nie pozostał, opuścili ten teren. Ucieszyłem się z zaproszenia. W nocy Winarowski zaprowadził mnie do Krzemińskiego.

Po wyzwoleniu dowiedziałem się po zaprowadzeniu mnie do Krzemińskiego, Winarowski ukrywał ważnych Żydów z Tłumacza Szloma Ritzera i jego kuzyna z Monasterzysk.

Po wojnie jeździłem po Polsce szukając Winarowskiego, ale nie mogłem odnaleźć ani jego, ani jego gospodarstwa. Przez całe życie było mi przykro, że nie odnalazłem go. Kiedy przybywałem do domu Krzemińskiego spotkałem tam nas siedmioro w trzech schronach. Jeden schron w ogrodzie, jeden pod niewykończoną częścią domu, a jeden na strychu, na sianie. W dzień pozostawaliśmy w schronach. Izrael i jego żona pod niewykończoną częścią domu, w tym czasie chorował. Pozostałych 5 osób było w 2 schronach. W schronie Izraela wyjście przez okno zostało zasłonięte deskami. Po przejściu otwora między deskami można było iść do lasu, ale w zasięgu wzroku, podobnie jak wejście do domu i na podwórze. Na podwórzu była psia buda i pies bardzo ostry, szczekający przeraźliwie jeżeli tylko zobaczył w pobliżu nieznaną osobę, albo jakieś podejrzaną ruchy. Szczekanie było sygnałem, że zbliża się nieznaną osobę.

Pilnowali Krzemiński ze swoją żoną. Kiedy rano wychodzili na roboty w polu, zamykali drzwi i okna z zewnątrz. Do domu przychodziliśmy w nocy. Grube zasłony w oknach uniemożliwiały kontakt ze światem zewnętrznym. Drzwi prowadziły do kokoju w części niewykończonej domu i schronu pod nim. Z tego schronu można było przejść do pozostałych tak, że dom mógł być opuszczony w każdej chwili.

W czasie długich wieczorów zimowych rozmawialiśmy o wojnie i o sytuacji Żydów i na przyjemny temat: zbliżającą się klęskę faszystowskich Niemiec. Nasze przekonanie, że ta klęska jest pewna i bliska, dawało nam nadzieję, której potrzebowaliśmy, żeby oczekiwać przyszłość. Wszystkie te nadzieje psuła nam pamięć o dzieciach które utraciliśmy. Cały czas o nich myśleliśmy. Rany nie chciały się goić.

Nowiny z zewnątrz przynosił nam Krzemiński. Zawsze opowiadał to co usłyszał w mieście. Tak jak my wszyscy i on marzył, żeby zobaczyć upadek Niemiec. Od czasu do czasu przynosił nam wiadomości z pola walki. My spędzaliśmy noce na praniu, czyszczeniu. Nasze kobiety pomagały gospodni w gotowaniu. Duże kotły, o które w tajemnicy Krzemiński się postarał, trzymano w ukryciu, żeby nie zdradziły 9 ukrywających się i ich gospodarzy.

Codziennie przychodził leśniczy i musieliśmy być ostrożni, żeby nie wzbudzić u niego najmniejszych podejrzeń. Gotowało się pożywienie o zmierzchu, kiedy wieśniacy wracają z pola. Nasze pożywienie składało się z zupy ziemniaczanej i kaszy z owsa zmielonego na małym ręcznym młynku, który należał do wyposażenia każdego gospodarstwa.

Krzemiński z rodziną z trudem mógł się utrzymać przy życiu z 4 hektarowego pola. Problem stwarzało 9 dodatkowych osób. Krzemiński bał się kupować zboże w większej ilości. Prędzej czy później stał się podejrzany. Chleb był pieczony raz w tygodniu, świeży w niedzielę. Ja jadłem to co pozostało z maku po wyciśnięciu oleju. Moją porcję chleba oddawałem żonie. Ona potrzebowała sił, żeby znieść to co przeżyła. Postanowiliśmy, że po żniwach Krzemiński pójdzie do administratora gospodarstwa Jackówki, którym był nasz dawny pracownik i kupi od niego 100 kg. kukurydzy i 100 kg. pszenicy mówiąc, że chce zmienić ziarno siewne na swoim polu. Nasze dawne pola dawały dobre ziarno siewne. Administrator, volksdeutch, o niemieckim nazwisku Ferszte był odpowiedzialny za dostarczenie Niemcom pewnego kontyngentu ze zbiorów. Krzemiński żył z nim dobrze i spodziewaliśmy się, że załatwi sprawę. Itak się stało: administrator nawet przywiózł Krzemińskiemu zboże do domu (za co otrzymał zapłatę). Teraz mieliśmy na jakiś czas zapewnione wyżywienie. Każdego dnia wydarzało się coś nowego. We wsi mówiono, że Żydzi ukrywają się w lesie i ktoś wymienił nazwisko rodziny Sprecherów. I rzeczywiście w tym czasie była w lesie grupa 8 Żydów, tłumackich /więcej będzie o nich w innym rozdziale/.

Leśniczy, ten który codziennie zachodził do domu Krzemińskiego mówił o nas, nadmieniał: we wsi opowiadają, że u Krzemińskiego ukrywa się rodzina Sprecherów. Na to odpowiedziała żona Krzemińskiego: „Mój dom jest otwarty, może pan wejść i zobaczyć”. Był moment, że chcieliśmy pozbyć się go, zastrzelić. Mógł łatwo doprowadzić do zniszczenia nas. Mój szwagier Hirsz miał pistolet, ale zrezygnowaliśmy z tego projektu. To tylko zwiększałoby katastrofę.

Dwie córki Krzemińskiego Stefka i Milka w tym czasie wyszły za mąż, mieszkają w swoich domach. Kiedy zwiększyły się trudności w zdobywaniu żywności, rodzice powiedzieli córkom o nas. Prosimy, żeby nam pomogły kupując czasem dla nas żywność, taką jak groch, fasola we wsiach gdzie nie są znane. Sprzedawaliśmy różne rzeczy, które jeszcze mieliśmy, żeby uzyskać pieniądze na żywność. Jedną z tych rzeczy były zelówki ze skóry, które mój szwagier Peretz miał u siebie. Z prośbą o pomoc zwracaliśmy się do Stefki, ponieważ Milka, młodsza córka była w ciąży Stefka nie mogła odmówić rodzicom. Chodziła od jednej wsi do drugiej. Mieniała skórę na żywność, mimo tego, że posiadanie takiego towaru było zakazane.

Stefka zdawała sobie z tego sprawę na jakie naraża się niebezpieczeństwo. Kary były bardzo dotkliwe. Chodziła z koszykiem z

wilkiny wypełnionym rzeczami. Czasem uważała, że bezpieczniej jest skórę sprzedawać. Milka również od czasu do czasu przynosiła rodzicom do domu żywność w tajemnicy przed swoim mężem Ukraińcem, który był zły na Krzemińskiego i jego żonę za niewykończenie domu dla niego i Milki. Chciał tam zamieszkać dopóki nie kupiliby swego własnego domu. Rzeczywiście Krzemiński obiecał wykończyć pokój dla nich, ale to było zanim postanowił, że ratowanie naszego życia jest ważniejsze.

Po lecie przyszła polska jesień. Zaczęły padać ulewne deszcze, a ogród Krzemińskiemu zamienił się w moczary. Woda przeciekała do naszych schronów, musieliśmy opuścić ten w ogrodzie. Rozdzieliliśmy się do schronów w stodole i pod pokojem.

Pewnej nocy kiedy siedzieliśmy z naszym gospodarzem, pies na podwórzu zaczął bardzo szczekać. Przestraszyliśmy się, szczekanie mogło oznaczać tylko, że zbliża się ktoś nieoczekiwany. Wszyscy szybko zeszliśmy do schronu, tłocząc się i trzęsąc z zimna i strachu. Niespodziewany przybysz był Żydem z Tłumacza. Jednym z ośmiu ukrywających się w lesie. Nazywał się Szlomo Knipl, ale ponieważ był garbaty, nazywano go Szlomo Garbaty. Załatwił sprawę z chłopami, a teraz przyszedł do Krzemińskiego w nocy prosząc o żywność. Nasze zapasy były małe, wiele dni nie jedliśmy wogóle, ale zbraliśmy resztki żywności i daliśmy mu razem z ubraniami. Od tego czasu stał się on „cotygodniowym gościem” Krzemińskiego.

Kiedy nadeszła zima i całą okolicę pokrył biały śnieg, chłopci jeździli do lasu sankami, żeby ścinać drzewo na opał. Ponieważ dom Krzemińskiego był blisko lasu, chłopci przychodzili, żeby ogrzać się. W tym czasie żyliśmy w stałym napięciu.

Każdy chłop miał coś do powiedzenia o Żydach ukrywających się w lesie, którzy jak zwierzęta szukają żywności i pożywienia i są tropieni jak zwierzęta.

Od czasu do czasu przychodzili Niemcy na polowanie, ale nigdy nie wstępowali do domu. W czasie jednego z polowań została zraniona sarna, ale uciekła. W nocy usłyszeliśmy szczekanie psa. Krzemiński wyszedł natychmiast, żeby zobaczyć kto przyszedł. Była to zraniona sarna. Zabraliśmy ją do stodoły i dobliśmy. Pozostał jednak problem ukrycia śladów krwi zranionego zwierzęcia, które można było śledzić od lasu do domu.

Wcześniej w styczniu 1944 r., którejś bardzo śnieżnej soboty przyszedł pod drzwi Szloma Garbaty. Był ubrany w szmaty i worki. Trzy palce miał odmrożone. Powiedział, że chłopci mówią o ukrywaniu się Sprechmanów w domu Krzemińskiego. Obiecali Szlomie kozuch i parę butów jeżeli sprawdzi tę wiadomość. W ciągu ostatnich kilku miesięcy sam Krzemiński uważał za konieczne mówić chłopom, że nie przechowuje w swoim domu żadnych Żydów. Tym razem zaprowadził Szlome do stodoły, a następnego dnia, w niedzielę po mszy kupił w aptece w Tłumaczu maść na leczenie odmrożonych palców Szlomy. Szloma pozostał w stodole przez kilka dni, dopóki nie poczuł się lepiej. Potem poszedł i nigdy już nie wrócił.

Walki w Polsce trwały bez przerwy. Czerwona Armia pędziła Niemców na zachód, każdego dnia były uwalniane miasta i wsie spod okupacji niemieckiej i wkrótce mogliśmy usłyszeć zbliżający się grzmot dział rosyjskich. Front zbliżał się do Tłumacza. Miasto zostało uwolnione 27 marca 1944 r., a linia frontu przebiegała między Tłumaczem a Tyśmienicą.

Opuściliśmy schrony i udaliśmy się do naszego domu we wsi. Dom nasz został zajęty przez polowy szpital, pełny był rosyjskich żołnierzy i oficerów leczonych przez zespół lekarzy i pielęgniarek. We wszystkich pokojach były sienniki wypchane słomą, które leżały na podłodze. Największy pokój był salą operacyjną. Była tam lekarka Żydówka. Zajęła się nami. Opowiedzieliśmy nasze przeżycia w czasie okupacji niemieckiej. Słuchała nas uważnie, poczem poradziła nam udać się do Czerniowiec bez zwłoki. Front — wyjaśniła — był płynny, Niemcy kontratakują całą siłą i wojska rosyjskie mogą być zmuszone do odwrotu, opuszczenia już zajętych terenów. Wszystko wskazywało na to, że nastąpi odwrót Rosjan. Noc spędziliśmy w domu przyjacielego chłopca. Rano zauważyliśmy wiele odznak wycofywania się Rosjan. To była ciężka zima, półmetrowy śnieg

pokrywał ziemię. Nasze ubrania były w strzępach, głównie wskutek wilgoci w miejscach, w których ukrywaliśmy się. Nie mieliśmy siły wybrać się w podróż piechotą. Moja teściowa, Peretz i Mania postanowili jednak spróbować. My nie mieliśmy wyboru, mieliśmy wracać do Krzemińskiego, żałując, że opuściliśmy to schronienie. Powinniśmy byli pójść z Peretzem. Chłopi mówili, że miejscowa ludność wycofa się razem z Rosjanami. Peretz i Mania szli dłużej, ale w końcu doszli do Czerniowiec. My zostaliśmy u Krzemińskiego. Było nas 5 osób: Izrael z żoną, moja żona, Heniek i ja. Krzemiński przyjął nas z powrotem i znowu zeszedliśmy do schronów. Teraz zaczął się najgorszy okres, jaki przeszliśmy.

Tyśmienica i Tłumacz stały się miejscem najcięższych walk Rosjan z Niemcami. Rosjanie zostali zmuszeni do odwrotu, aż w okolice Obertyna. Niemcy zajęli ponownie tereny w pobliskich wioskach, również Jackówkę. Zgromadzili tutaj artylerię, czołgi, piechotę. Zajęli pozycje w lesie, który ich osłaniał od góry. Dom Krzemińskiego był przy lesie, nic dziwnego, że Niemcy zajęli go na dowództwo artylerii i kuchnię polową w sąsiednich budynkach. Między lasem a domem Niemcy zbudowali schrony dla siebie i swoich koni. Mogliśmy się schować tylko w stodole poza stertą siana i słomy. Żeby zatrzymać Niemców z daleka od stodoły, Krzemiński powiedział im, że w czasie okupacji sowieckiej stodoła była używana przez chore konie. Niemcy obawiali się zarażenia swoich koni, uwierzyli Krzemińskiemu. Krzemiński w czasie I wojny światowej służył w armii austriackiej jako podoficer, mówił trochę po niemiecku, wystarczająco, żeby porozumieć się z niemiłymi gośćmi. W ciągu dnia z kuchni wynoszono do okopów posiłki trzy razy. Ze składu broni stale donoszono amunicję. Temperatura wzrastała, śnieg się topił, woda przedostawała się do stodoły, do siana. Nasza sytuacja była beznadziejna, byliśmy w każdej chwili zagrożeni wykryciem naszego schronienia i nasze krótkie wyzwolenie mogło się zakończyć. Siedzieliśmy na strychu, a dookoła nas był gwar i zgiełk. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy jakiś nasz fałszywy ruch może spowodować naszą zagładę. Nie mieliśmy odwagi nawet rozmawiać, zdawało się, że każdy dźwięk słychać o milę.

Krzemiński zrobił sobie w stodole postanie i tam spał, żeby odwracać uwagę Niemców. Miał oczy i uszy otwarte na wszystko, co mogło zdradzić nasze ukrycie. W pobliżu drzwi domu był stałe posterunek, strzegł biura i kuchnię polową. Posiłki otrzymywaliśmy raz dziennie, przeważnie wieczorem, kiedy Krzemiński przechodził do stodoły doić krowę. Często otrzymywaliśmy posiłki z kuchni polowej, którą dostawał od niemieckich kucharzy. Był w dobrych stosunkach z całą załogą. Każdego popołudnia Niemcy zbierali się na podwórzu żeby wysłuchać rozkazów, wieści z frontu, instrukcji. Mogliśmy słuchać wszystkiego co działo się na podwórzu. Teraz dowiedzieliśmy się co się dzieje na frontach i że duże miasta niemieckie są bombardowane przez lotnictwo alianckie. Całe miasta zostały zamienione w gruzy. Słyszeliśmy o powstaniu drugiego frontu w zachodniej Europie. Naturalnie te wiadomości dodawały nam odwagi. Zbliżał się koniec III Rzeszy.

Z początkiem lipca 1944 r. Niemcy nagle opuścili dom Krzemińskiego. Oddychaliśmy wolnością. Walki jednak znowu zbliżyły się do nas, Luftwaffe zbombardowały las niedaleko nas. Niemcy 25 lipca 1944 r. opuścili naszą wioskę i zostaliśmy wyzwoleni przez wojsko rosyjskie. Opuściliśmy nasz schron i poszliśmy do Tłumacza. Krzemiński oddał nam nasze rzeczy, które trzymał w ukryciu. Odmówił przyjęcia wynagrodzenia. Sława uratowania ludzkiego życia — jak powiedział — jest prawdziwą nagrodą. Za to będzie wdzięczny zawsze Matce Boskiej.

Opuściliśmy Tłumacz w 1945 r. i udaliśmy się do Tamowa. W 1946 r. po morderczych pogromach w Kielcach opuściliśmy Polskę ziemię przesiąkniętą krwią Żydów. Pojechaliśmy do Niemiec, licząc na szybki wyjazd do Izraela. Nasze życzenia spełniły się w styczniu w tymże roku. Krzemiński z żoną pozostał w swoim domku, w Jackówce. Później cała rodzina razem z córkami i ich rodzinami żyli razem, a my pozostaliśmy z nimi w kontakcie po dzień dzisiejszy.

Przez całe lata w Izraelu nie zapomnieliśmy o naszych wybawcach, dzięki którym teraz żyjemy, tych zwykłych wiejskich ludzi z Jackówki, którzy narażali swoje życie, żeby nas uratować.

Tak wielu z nas zostało zamordowanych przez Niemców i ich wspólników, że dla kontrastu i zapamiętania jest naszym obowiązkiem moralnym opisać tych prawych ludzi, kobiety i mężczyzn, którzy kiedy byli otoczeni przez bandy morderców, nie dołączyli do nich i nie przesiąkli doktryną nazistowską nienawiści do Żydów, ale podali nam braterską dłoń, kiedy życie nasze zdawało się być nie do uratowania.

Prosiłiśmy Kapitułę R.G. (The Righteous Gentiles) of Yad Vashem w Jerozolimie o odznaczenie naszych zbawców najwyższymi odznaczeniami Państwa Izrael.

28.XI.1966 r. Yad Vashem postanowił odznaczyć Krzemińskiego i jego żonę medalem „Prawy Chrześcijanin” („nie Żyd”), którym odznacza się Nie—Żydów wielu krajów za ratowanie Żydów. Nasi wybawcy mieli zasadzić drzewa przy Alei „R.G.” na terenie Yad Vashem w Jerozolimie, dla zachowania pamięci o ich czynach, tradycji humanizmu. Właśnie wtedy wybuchła 6-dniowa wojna w Palestynie. Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem. To uniemożliwiło przyjazd Krzemińskich do Izraela w dniu 3 października 1967 r. Ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że nasz przyjaciel zmarł przed 4 laty w 82 roku życia. Pozostanie w naszej pamięci we czci i sławie.

Anna Kobylańska

Niedaleko naszego domu we wsi Jackówka był dom starej kobiety Polki, wdowy Anny Kobylańskiej. Uważam za święty mój obowiązek wpisania na listę „R.G.” tej zbawicielki Żydów z narażeniem własnego życia, w czasie strasznej ery nazistowskiej. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, kiedy Niemcy zajęli nasz teren i zaczęli tępić, prześladować Żydów, mój szwagier oddał trochę wartościowych rzeczy na przechowanie pani Kobylańskiej. Kiedy ukrywaliśmy się w domu Krzemińskiego, nasz szwagier Hirsch chodził do niej, żeby pewne wartościowe rzeczy zamienić na żywność. Czasem ona sama mieniła na żywność i przynosiła do nas. Załatwiała tę wymianę w mieście, a mój szwagier pozostawał w jej domu czekając na jej powrót.

Po wycofaniu się wojsk rosyjskich w kwietniu 1944 r. schroniliśmy się u Krzemińskiego powtórnie (jak opisałem w I rozdziale). Mój szwagier nerwowo nie wytrzymał sytuacji w jakiej znaleźliśmy się w pobliżu Niemców, na jednym podwórzu. My w schronie, a oni nad nami, tak, że w każdej chwili moglibyśmy być odkryci. Opuścił dom Krzemińskiego, udał się do wdowy i zapytał czy może ukryć się w jej domu? Ona zgodziła się natychmiast i ukryła go na strychu, gdzie był zupełnie bezpieczny. Nikt nie przypuszczał, że wdowa ukrywa Żyda. Ale jego szczęście nie trwało długo, wiele razy w nocy opuszczał swój schron i chodził do wsi do sąsiadki Marusi Vershtej (Fusztej?). Odległość nie była wielka, ale mój szwagier nie zachowywał odpowiedniej ostrożności. Ktoś musiał go szpiegować kiedy w nocy chodził do Marusi i dał znać policji ukraińskiej.

Policja obserwowała go, aż któreś nocy weszli do domu Kobylańskiej i znaleźli go śpiącego na strychu. Przy nim był naładowany rewolwer. Kiedy policja poszła go szukać na strych, p.Kobylańska wymknęła się z domu. Mego szwagra w kajdankach zawieziono do Gestapo w Stanisławowie. W czasie badania Gestapo żądało od niego podania, gdzie jest rodzina Sprechanów. Marusia jak nam potem opowiadała, znalazła go w więzieniu w strasznym stanie ciężko pobitego, całe ciało pocięte od uderzeń i pogryzione przez psa. Marusię także zaarrestowano i wysłano do Gestapo do Stanisławowa. Kiedy chodził do niej po żywność opowiadał, że tylko on pozostał przy życiu i że ukrywa się w lasach Jackówki. Od Marusi dowiedzieliśmy się o jego tragicznej śmierci: nie mogąc wytrzymać tortur, popełnił samobójstwo. Jak mówił Marusi — bał się że może się załamać i powiedzieć w Gestapo o schronach na podwórzu Krzemińskiego. To byłby koniec naszej rodziny i naszych dobrodziei. Podał swoją koszulę na paski, zrobił z tego sznur i powiesił się na kratkach okna. Gestapo pokazało jej wiszące ciało i zwolniło.

Tak zmarł Hirsch za swoją rodzinę i naród zabierając tajemnicę schronu ze sobą do nieznanego grobu.

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy

Ks. LESZEK JEŻOWSKI

Przedmowa

Gdy mówimy — budynek, mamy na myśli jego wygląd, wielkość, fasadę, dach, chociaż elementem najbardziej istotnym są w nim cegły tworzące fundament i ściany. Mówiąc o Polsce, myślimy o jej stolicy, wielkich miastach, centrach nauki i kultury, zagłębiach przemysłowych. Tymczasem kraj stanowią również jego prowincjonalne miasteczka i wsie.

O dużych miastach międzywojennej Polski i ich sławnych obywatelach ukazało się i ukazuje sporo publikacji. Natomiast rzadko kiedy napisaną relacją ocala się od zapomnienia właśnie te małe skupiska niezbyt ciekawych ludzi istniejące z dala od środków cywilizacji. Niniejsze skromne opracowanie pragnie przypomnieć jedno z nich. Tłumacz, powiatowe miasto w województwie stanisławowskim, tak jak ja, będąc uczniem gimnazjalnym, widziałem je w latach 1930-1938.

Ulica Słowackiego i jej przecznice

To była najładniejsza tłumacka ulica. Zaczynała się koło Sokoła-Starostwa i biegła prosto, bez żadnych załamań, w kierunku północnym. Tą ulicą jeździło się do Stanisławowa. I już ten sam fakt dodawał jej jakiegoś niewytłumaczalnego uroku wrót wielkiego świata. Przy Słowackiego najwięcej budowano. Ulica pomału wypełniała się po obydwóch stronach. Zamieszkiwali ją przede wszystkim urzędnicy, nauczyciele, tzw. inteligencja. Szkoła, że nie rosły przy niej drzewa. Ale za to za parkanami domów było dużo ogrodów i sadów. Mimo swego niewątpliwego pierwszeństwa wśród innych ulic, ulica Słowackiego nie miała chodników po obydwóch swoich stronach. Kamiennymi płytami wyłożono ulicę z prawej i lewej strony tylko na krótkim odcinku. Od Starostwa do domu Blochów. Za nim prawy trotuar skręcał na „Hof”, jak to się mówiło, by doprowadzić przechodnia do Urzędu Skarbowego. Nie troszczył się o to, że bez niego prawa strona Słowackiego wyglądała już dalej zgoła nie miejsko. A gdy przyszły błota, trudno się było dostać do domów, które leżały po tej stronie ulicy. Lewy chodnik był o wiele dłuższy. Dochodził do ruskiej bursy, a za nią przynajmniej kamienny krawężnik ratował honor najładniejszej tłumackiej ulicy.

Chociażby przy Słowackiego nie było innych domów, to budynek Sokoła i tak by sprawił, że mówiono by: przy

tej ulicy są najładniejsze domy. Dłuższa bowiem strona gmachu Sokoła przylegała do Słowackiego. W niej była sala gimnastyczna służąca również za pomieszczenie wszelkim widowiskom. W tej części budynku przebywali jedyni jego stali mieszkańcy aż do 1939 roku. Rodzina Bernarda, dozorca całej realności. Bernard to nie było imię lecz nazwisko. Człowiek, który je nosił przekroczył trzydziesty rok życia, był dosyć niskiego wzrostu, chodził charakterystycznym krokiem, uginając się w kolanach.

Na ogół dozorca nie cieszą się szczególnie dobrą opinią, ale Bernard ją posiadał. Był człowiekiem uczciwym, pracowitym, stroniącym zupełnie od alkoholu i podejrzanego towarzystwa. Odznaczał się wielką pobożnością. Nie było nabożeństwa w kościele, w którym nie brałby udziału. I to nie sam, ale z żoną i wszystkimi swoimi dziećmi, które przybywały chyba co roku. Pomagał w pracach przy kościele, przy urządzeniu procesji i różnych imprez parafialnych. My, uczniowie gimnazjalni stykaliśmy się z Bernardem, gdy przychodził otwierać salę Sokoła dla naszych ćwiczeń gimnastycznych, względnie zamykał ją po naszym wyjściu. Widzieliśmy go doglądającego sali w dni, w których odbywały się w niej seanse kinowe i przedstawienia teatralne. Ja, jako długoletni prezes Sodalicii Mariańskiej, kontaktowałam się jeszcze z Bernardem, gdy chciał coś załatwić na strychu Sokoła, dokąd wejście prowadziło przez lokal sodalicyjny, którym się opiekowałam.

Zarząd Kasy Stefczyka w Tłumaczu (koniec lat dwudziestych)
Od lewej stoją:
Feliks Biliński, Kazimierz Kłonowski, Dominik Burczyński, Jan Jasiński-Rawicz, Mytnik, Leon Burczyński, Jan Pawłowski.
Od lewej siedzą:
Wawrzyniec Biliński, Hoffman, Ossowski i Agopsowicz



Gdy ks. Witkowski, moderator naszej Sodalicii, albo nawet ja sam, potrzebowaliśmy usługi Bernarda, bez ociągania się, chętnie jej udzielał. Nigdy nie byłem w jego mieszkaniu. Nie wiem z ilu składało się pomieszczeń. Może tylko z jednego? Pamiętam, że wchodziło się do niego z dużej

sieni, właściwie przejazdu prowadzącego na obszerne podwórze Sokoła. Samo mieszkanie mieściło się w niskim parterze, który można też nazwać suteroną.

Wracając do sali Sokoła, trzeba dodać, że w niej odbywały się przedstawienia miejscowych zespołów amatorskich, spektakle przyjezdnych trup aktorskich, występy solistów. Od czasu do czasu pojawiali się na scenie Sokoła recytatorzy i recytatorki, na ogół z poetyckim repertuarem, którego słuchaczami była przeważnie młodzież gimnazjalna.

Sala Sokoła służyła również potrzebom kina. Była nim w soboty i niedziele, od czasu do czasu i w inne dni tygodnia. Kino tłumackie zmieniało swą nazwę w zależności od właściciela, który je prowadził. Tymi właścicielami byli zawsze Żydzi, którzy filmy wypożyczali przeważnie z kin stanisławowskich. Repertuar nie był nadzyczajny, bo właścicielom brakowało pieniędzy na sprowadzenie cenniejszych, głośniejszych filmów. Na takie jeździło się do Stanisławowa. W okresie kina niemego podczas seansów, na balkonie sali grała na fortepianie p. Misiecka, starając się dobrać odpowiednie melodie i rytmy do scen rozgrywających się na ekranie. Bywalcy kina przeważnie chwalili jej muzyczny akompaniament.

Za budynkiem Sokoła, po prawej stronie ulicy Słowackiego stały parterowe domy. Pierwszy z nich należał do rodziny Ossowskich. Nie wiem, kto był jego prawnym właścicielem, bo członków rodziny było tam dużo. Stary p. Ossowski, pater familiae, zmarł może w 1932 r., może trochę później. Miał rzeczywiście patriarchalny wygląd, który podkreślał swoim staropolskim strojem. Pracował w Kasie Stefczyka. Jego syn chodził do gimnazjum o parę lat wyżej ode mnie. Reprezentował dawne pokolenia studentów. Bardzo rozrośnięte i męskie. Między nami, dziecinnymi chłopaczkami, a takimi jak Ossowski leżała przepaść. My nie odważylibyśmy się jej przekroczyć, a im nie przyszłoby na myśl, że tej przepaści mogło by nie być. Już nie pamiętam, czy ten Ossowski, mój starszy kolega, skończył gimnazjum i zdał maturę, czy też po którejś wyższej klasie zakończył swoją edukację i wyjechał z Tłumacza. W każdym razie nie widywałem go w drugiej połowie lat trzydziestych na podwórzu jego domu. A to podwórze było stosunkowo wielkie i otwarte na widok publiczny. Niskie ogrodzenie, częściowo ze siatki drucianej, częściowo z drewnianych sztachet nie zasłaniało niczego. Bawiły się na nim dzieci córek Ossowskiego, ich matki gwarzyły ze sąsiadkami, wystawiali urzędnicy skarbowi przychodzący na obiady do p. Włodarskiej. Bo ona, z domu Ossowska, stołowała. I to nie byle kogo, bo część tłumackiej inteligencji. Po godzinie trzeciej po południu wszyscy niemal urzędnicy kawalerowie z Urzędu Skarbowego, wyszedłszy z biura skręcali koło Blochowej i szli do Włodarskiej.

Jej córka nosiła obiady niektórym rodzinom do domu. Jakoś i my jedliśmy raz obiad od Włodarskiej. Mama wyjeżdżała gdzieś i nie chcąc, abyśmy byli pozbawieni ciepłego posiłku, zamówiła u niej obiad. Był wcale smaczny. Przynajmniej wydawał się mi taki, jako że dzieciom wszystko gdzie indziej lepiej smakuje niż we własnym domu. Zapamiętałem, że wtedy do mięsa były ziemniaczane paluszki. Mama ich nie robiła. Nie lubiła tej potrawy.

Druga panna Ossowska wyszła za mąż za Tomyna, szofera ze Starostwa. Kim był Włodarski, nie wiem dokładnie. Zdaje się, że pracował w Borysławiu czy Drohobyczu, a podczas swoich pobytów w Tłumaczu przychodził do nas czasem coś zrobić. Porąbać drewno, naprawić piec. Był człowiekiem porządnym i pracowitym. Włodarski był spokojny, cichy, chorowity. Gdy zmarł, jego żona zabrała się do stołowania, by mieć z czego żyć wraz z dziećmi. Jeszcze za życia starego p. Ossowskiego mieszkali w tym domu gimnazjaliści na stacji. Do szkoły było stąd bardzo blisko, a dostojny wygląd gospodarza zachęcał wiejskich rodziców do pozostawienia pod jego opieką swoich dzieci. Jakis czas przebywał u Ossowskich mój kolega, Szuszkiewicz, syn wójta z Mołodytowa w tłumackim powiecie. Ale po którychś

wakacjach, może nawet po pierwszych, nie wrócił ze wsi i nie uczył się dalej w gimnazjum.

Dom Ossowskich przylegał do następnego, który był własnością starej wdowy. Mieszkała w nim razem ze swoją córką Dziwiło mnie zawsze, że nosiły różne nazwiska. Chciałem wiedzieć dlaczego? Pytałem o to rodziców, otrzymywałem od nich wyczerpujące wyjaśnienia, które jednak szybko ulatywały mi z pamięci. Panna Lauterschlagerówna była raz czy dwa u nas. Nie wiem po co. Ale od tego czasu bardzo ją polubiłem i chociaż nigdy później nie rozmawiałem z nią dłużej, zawsze kłaniałem się jej uprzejmie na ulicy. Zdaje się, że pożyczyła mi jeden raz jakąś książkę. Była drobna, mała i sympatyczna. Podobnie jak jej matka, siwowłosa staruszka. Obydwie nie odwiedzały nikogo, utrzymywały się zapewne z jakiejś mamej emeryturki, nie przyjaźniły się z nikim. Uczęszczały regulamie do kościoła. Czyste, skromnie ubrane. Pieczołowicie uprawiały swój ogród przed domem. Rosły w nim kwiaty, w zestawieniu z takim samym ogrodem Ossowskich, ten sprawiał bardzo korzystne wrażenie.

Gdy czytałem w książkach, które pochłaniałem masami, smutnych wdowach i więdnących na prowincji pannach, przez oczyma miałem te dwie kobiety, z ulicy Słowackiego. Poprzez karty powieści widziałem wnętrze ich domu. Kuchnię, pokój, może nawet dwa pokoje. Jakies stare, wygnięcione fotele splecione plusze, cerowane firanki, zasuszone kwiaty, fotografie drewnianych ramkach. Romantyczne powieści i książki do nabożeństwa. Białe zaścielone łóżka. A na stole lampę. Konieczność naftową, z porcelanową dużą umbrą. W jej świetle panna Lauterschlagerówna czytała jesiennymi wieczorami książki, a jej matka robiła na drutach. Za oknami było ponuro i zimno. Widać było deszczem o szyby. A tu płomień huczał w piecu, trzaskała polana drewna, tykał zegar. Może z kukułką. Gdzieś po kątach kryły się wspomnienia dawnych, lepszych czasów, i jakaś zmowa nieszczęścia, która przed laty przyszła do tego domu i zgasła nadzieję w oczach jego mieszkanki.

Kolejny dom Blochowej był większy od tamtych dwóch i okazał się. A przede wszystkim murowany. Okrywał go tynk, nie bielone ściany. Okna otaczały framugi. Na środku znajdowały się drzwi wejściowe. Przed nimi dwustronne podejście schodkami i żelaznymi poręczami. Gdyby jeszcze stary Bloch był zaprowadził za swojego życia ogród wokół całego domu, dodałby mu znaczenia. Ale nie zrobił tego, tylko przytulił go do domu Lauterschlagerówny. Ogród był z trzech pozostałych bloków. Od Słowackiego, innymi słowami od frontu, od Hofmanna z tyłu. W ogrodzie rosły drzewa owocowe. Na wiosnę kwitły biało-różowo. Lubiłem wtedy patrzeć na nie. A kiedy indziej musiałem patrzeć i na dom Blochów i na jego ogród i na drzewo na studnię, na drewnutnię. Bo to wszystko znajdowało się prawie naprzeciw naszych okien. Zawsze tam ktoś przychodził lub wychodził, służąca ciągnęła wodę, nosiła drewno, koledzy młodzieńcy Blocha wyglądali razem z nim przez okna.

Starego Blocha już nie znałem. Zmarł zanim przyjechalismy do Tłumacza. Wdowa po nim miała dwóch synów. Starszy był przystojny, mało przypominał Żyda, pracował w jakiejś kancelarii adwokackiej lub w Sądzie. Nie ożenił się do wybuchu wojny. Zaraz po roku 1930 widywano go często z p. Jampolerow i posądzono o romans z nią. Pani Jampolerowa nie mieszkała już w wąskich, tłumackich ramach. Elegancka i pełna werwy, młoda i chcąc użyć lat, które przekroczyły czterdziestkę, korzystniej wyglądałaby na tle ulic wielkiego miasta. Wiedziała sporo o tym dobrze i bodajże w 1932 roku wyjechała z obydwu swoich synami do Lwowa. Mąż adwokat, pozostał w Tłumaczu i pracował na swoją rodzinę. Po kilku latach p. Jampolerowa wróciła. Starszy syn, Tusiek, pozostał we Lwowie na Politechnice, a młodszy Lolek, chodził ze mną do jednej klasy. Razem też zdawaliśmy maturę. Tak rodzina adwokata Jampolerowa łączy się mi w myślach z Blochami, że musiałem o niej wspomnieć właśnie teraz. Przy domu Blochowej Przy jej starszym synu.

Młodszy był mało podobny do swego brata. Niższy, ciężkawy, z semickim nosem. Chodził do gimnazjum o dwie klasy wyżej ode mnie. Nauka niezbyt mu szła. Może nawet powtarzał jakąś klasę. Przed maturą przeżywał prawdziwą udrękę. Gdy w maju wstawałem rano by pójść do kościoła na Mszę św. o 6 godz., on już uczył się w ogrodzie. Miał w ręce książkę lub zeszyt, pochylał się nad nim, później zamykał go, wyprostowywał się, głośno powtarzał przeczytane zdanie, aby znowu zacząć czytać. Tak było całymi tygodniami. Często uczył się razem z kolegami. Ja męczyłem się razem z nim. Wyobrażałem sobie swoją maturę, która mnie czekała za parę lat i męczarnię przygotowywania się do niej.

W domu Blochowej mieszkała jej siostra lub bliska krewna, p. Wieserowa. Też była wdową, ale miała tylko jednego syna. Zdał maturę przed 1930 roku. Często widywałem go na ulicach. Chodził sam, poważny, obojętny. Znać było, że matka dba o niego. Nosił porządną odzież i nie pomięty kapelusz. Ten kapelusz był pierwszą rzeczą, jaką u niego zauważyłem. A wpadł mi w oko dlatego, że młodzi ludzie w jego wieku nie nosili w Tłumaczu kapeluszy. Tylko on jeden. Musiał być chory. Twarz miał bardzo bladą, starą i łysiał. Na tableau maturalnym swojej klasy, które wisiało w korytarzu gimnazjum, wyglądał całkiem inaczej. A to przecież było zaledwie parę lat temu. Nigdzie nie pracował. Utrzymywała go matka. Nie wiem z czego. Prawdopodobnie z jakiejś renty po mężu. W letnie popołudnia chodziła na przechadzki razem ze swoim synem. Mojej mamie bardzo się to podobało. I w ogóle w naszym domu p. Wieserowa cieszyła się sympatią, że taka cicha, przyjemna, skromna. Nie tak, jak p. Blochowa.

Pewnego popołudnia Wieser przyszedł do nas. Chciał mówić z ojcem. Bardzo mnie to zaciekawiło. Nie poszedł do Starostowa? Widocznie ma jakieś bardzo osobisty interes. Był u ojca dosyć długo. Oczywiście dowiedziałem się po co. Chciał się ochrzcić. Zaskoczyło mnie to i zachwyciło. Zamiarowi Wiesera dałem zaraz podkład sentymentalno-religijny. Tyle samotnie chodził, tyle rozmyślał, modlił się żarliwie, aż przejrzał i uznał konieczność przyjęcia jedynie prawdziwej wiary, katolicyzmu. Zdanie starszych brzmiało przyziemnie: biedny chłopiec nie może nigdzie dostać posady, bo jest Żydem, nie chce wykorzystywać matki, więc pragnie zmienić religię, aby zapracować na siebie. Mój ojciec miał być jego chrzestnym ojcem. O to, m.in. Wieser przyszedł prosić. Chrzest się odbył. Jego matka pozostała przy wierze swoich przodków. Nie widywałem neofity w kościele. Może chodził na Msze o innych porach? Ale po jakimś czasie zobaczyłem go na pocztce. Siedział za okienkiem. Chodził teraz regularnie do swego urzędu, przed ósmą rano, wracał na obiad, wychodził znowu, aby o trzeciej być na pocztce, a wieczorem, po szóstej widziałem jak zapala się światło w jego oknie w domu Blochowej.

Później, ale nie wiem, czy to było za rok, czy za kilka lat, Wieser popełnił samobójstwo. Oficjalną przyczyną miał być rozstrój nerwowy. Było mi żal jego matki. Została całkiem sama. Z kim pójdzie latem na spacer? Ludzie patrzyli na nią ciekawie, gdy szła ulicą, ale zawiadzeni odwracali od niej oczy. P. Wieserowa nie demonstrowała swego bólu. Była taka, jak zawsze. Nie było na co patrzeć.

Dom Blochowej kończył pierwszy, prawy odcinek ulicy Słowackiego. Teraz rozpoczynała się duża, czworoboczna łąka. Ze wszystkich stron zamykały ją ulice. W uczniowskiej gwarze nosiła wymienioną już nazwę: Hof. Skąd się ta nazwa wzięła — trudno przychodziło ustalić. Jej rodowód etymologiczny był jasny, ale jakie miało to być podwórze? Jakiego budynku? Chyba że cukrowni, która stała na tym miejscu przed pierwszą wojną światową i została spalona, czy zniszczona ostrzelaniem artyleryjskim. Nigdy nie wyjaśniłem sobie tej nazwy i w dzieciństwie do swoich kolegów, nigdy jej nie używałem. Mój ojciec nie lubił, gdy posługiwałem się niepolskimi wyrażeniami.

Między domem Blochów a Hofem biegła w kierunku wschodnim prawie nie zabudowana ulica, bo znajdował się przy niej, w pewnym oddaleniu duży budynek, w którym najpierw mieścił się

Sąd Grodzki, a później Urząd Skarbowy. Oprócz tych instytucji mieszkali tam prywatni lokatorzy. Najdłużej p. Kłodnicki, naczelnik Sądu. Bardzo sympatyczny pan w średnim wieku o pogodnym wyrazie twarzy, którego szpecił załamany nos. Pewnego roku pojechał, podobno do Wiednia, gdzie dokonano na nim operacji plastycznej, po której nie można było poznać, że nos p. Kłodnickiego był kiedykolwiek zdeformowany. Jak wielu innych tłumaczan-Polaków, p. Kłodnicki był aktywnym członkiem Sokola.

Inni lokatorzy wspomnianej kamienicy to Seidlerowie, którzy wcześniej mieszkali na parterze u p. Francowej, zanim p. Leon został burmistrzem. Mieli dwoje dzieci w wieku szkolnym: Mirosławę i Zdzisława.

Zokien naszego mieszkania doskonale było widać wymienioną uliczkę, która biegła prostopadle do niego i dzięki temu również wszystkich, którzy przechodzili nią do Urzędu Skarbowego. Byli to przede wszystkim zatrudnieni tam ludzie, w znacznej mierze młodzi. Np. Ślusarczyk, Śniechowski, Merski. Do grona urzędników skarbowych należała też starsza już p. Kopytńska i zwykle jej towarzyszący p. Sajdak, który lubił chodzić w wypolerowanych, brązowych sztylpach.

Na rozległym Hofie w 1930 r. stał tylko jeden, piętrowy dom. Mieściła się w nim ochronka założona przez ks. Tabaczkowskiego, miejscowego proboszcza dla sierot po ofiarach wojny. Prowadziły ją SS. Służebniczki Starowiejskie.

W niedziele i święta widziało się od nas dzieci z ochronki idące parami do kościoła na nabożeństwo. Za nimi szła zawsze zakonnica w towarzystwie starszych dziewczyn. Nie wiem — służących czy wychowanic. Ten obraz mobilizował nas często do wyjścia z domu na Mszę św. „Już ochronka poszła” — mówiło się wtedy i ubierało szybko zwierzchnie odzienie. Dzieci były jednakowo ubrane, dosyć blade i chude. Chłopcy mieli włosy przystrzyżone przy samej skórze. Nie widywało się ich nigdy przy jakichś psotnych zajęciach i nikt na nie nie narzekał. Z okazji świąt lub jakichś uroczystości ten i ów z Tłumaczan posyłał co mógł do ochronki. Pamiętam, że w sobotę szedł tam od nas wielki gar rosółu po szynkach i kiełbasach, jakieś wędliny i słodycze. Ja sam byłem w ochronce dwa razy. Załatwiałem krótko jakieś sprawy z zakonnicami. Ten drugi raz zapamiętałem sobie lepiej. Przypadł w dniu złożenia przez mnie egzaminu dojrzałości. Przeszedłem korytarzem do przełożonej. Czuć było kwaśnym chlebem i znoszonym obuwem. W latach trzydziestych przełożoną była jedna i ta sama zakonnica. Głos miała bardzo charakterystyczny. Jakby głośny, jęczący szepc. Poza ochronką zajmowała się strojeniem ołtarzy w kościele. Do tej czynności ubierała długi fartuch i wspinała się na mensy ołtarzowe. Drażnił mnie ten widok. Odczuwałem go jako profanację świętego miejsca. Przełożona prosiła mnie kilkakrotnie, abym przyszedł kiedyś do ochronki, ale nie korzystałem z tego zaproszenia. Po co tam chodzić? Zdaje się, że zakonnice szyły blielinę pościelową i naprawiały ją.

Z wolna pusta łąka koło ochronki zaczęła się zabudowywać. Ostatni dom postawił Kurpas. Trzeba od razu zaznaczyć, że tych domów nie było dużo. Tylko trzy i wszystkie od strony Słowackiego. Dom Kurpasa stał najbliżej Blochowej, oddzielony ulicą na Hof i kawałkiem łąki. Był murowany, parterowy, z łamanym dachem, pod którym mieściło się kilka pokoi. Okna miały szerokie, nowoczesne, a całość sprawiała solidne wrażenie. Dom ten powstał może w 1936 roku, może w 1937. Wtedy, gdy Kurpas przeszedł na emeryturę. Niedługo był naczelnikiem tłumackiego Urzędu Skarbowego. Przyszedł, zdaje się, ze Stanisławowa. Szczupły, średniego wzrostu, stawiający niezgrabne nogi przy chodzeniu, nie był dla mnie typem sympatycznym. Nie zetknąłem się z nim nigdy na gruncie towarzyskim. Kurpasowie nigdzie nie bywali i prawdopodobnie jedną nogą przebywali w Stanisławowie, gdzie ich starszy syn, podobny do ojca, kończył gimnazjum. Młodszy chodził do szkoły powszechnej w Tłumaczu razem z moim bratem.

Wiadomości z życia Tłumaczan

Kolejny Zjazd Tłumaczan

W okresie od 1 do 14 czerwca 1995 r. odbył się zjazd — wspólny wypoczynek Tłumaczan. Tym razem w Suławie k/Milicza w Ośrodku Wypoczynkowym przy ul. Leśnej 4 u pana M. Malczewskiego. Wybór miejsca był korzystny. Domki były wyposażone skromnie, zapewniające jednak minimum wygody. Położone wśród bujnej zieleni i pobliskiego lasu. Przed domkami rozległy, trawiasty teren, na środku którego było miejsce przeznaczone na ognisko. Chętnie korzystano z tego 44 uczestników, tradycyjnie już urządzających wieczory przy ognisku ze śpiewami, żartami, wspomnieniami i wspinał się „Estradą” w wykonaniu niezastąpionej Ireny Pełech-Ruszel. Czas umilały też kasetki video, szczególnie z nagraniem przebiegu uroczystości, która się odbyła w dniu 31.07.1994 roku, a związana była z poświęceniem obrazu św. Anny Samotrzeć (po renowacji) z byłego kościoła w Tłumaczu. W czasie pobytu został zorganizowany przez niezastąpionego również w takich sprawach Jurka Czyżyckiego, wyjazd do kościoła w Siedlakowicach, gdzie obecnie znajduje się ten obraz. Uczestniczyliśmy we wspólnej mszy św. odprawionej przed naszym starym obrazem. Ksiądz proboszcz Wróbel serdecznie nas powitał i jeszcze raz podziękował za wkład finansowy oraz inicjatywę w organizacji renowacji obrazu.

Jak przed wielu laty mogliśmy znowu u stóp naszego cudownego obrazu zanieść modły o zdrowie, spokój i żebyśmy jeszcze długo mogli radośnie i zdrowo spotykać się w tłumackim gronie. Pielgrzymka ta dla wielu osób umożliwiła po raz pierwszy po 50-ciu latach zobaczenie symbolu naszego katolickiego tłumackiego życia, była bardzo wzruszająca i niejedna łza zabłysła nam w oku.

Później, już w domkach, jak co roku, trwały do późnych godzin nocnych tzw. „wspominki i pogaduchy”. Pożegnania też, jak zwykle były rzewne z obietnicami spotkania się za rok. Jeszcze na początku zjazdu odbyło się walne zebranie członków, na którym kol. Danuta Tabińska-Juhasz, w zastępstwie nieżyjącego prezesa klubu św. pamięci Zbigniewa Bajczuka (pamięć Jego uczczono minutą ciszy), odczytała sprawozdanie z pracy Zarządu Klubu za ostatnią kadencję.

Na wstępie zwróciła uwagę, że w roku 1995 mija właśnie 50 lat od opuszczenia naszego Tłumacza. Przez prawie cały ten czas umieliśmy się odnaleźć, zorganizować i spotykać. Jest to bardzo budujące zwłaszcza, że darzymy siebie wzajemnie prawdziwym uczuciem przyjaźni, szacunku, przywiązania i niech to już na zawsze pozostanie. Następnie wymieniła dwa ważne zadania, które zostały zrealizowane przez Zarząd Klubu przy dużej ofiarności wszystkich Tłumaczan:

1) Dla uczczenia pamięci naszego długoletniego proboszcza tłumackiego, wielkiego społecznika, którego miejsce spoczynku nie jest znane, ufundowaliśmy tablicę — epitafium o następującej treści:

Ks. kar. Edward Tabaczkowski 1872-1942

Proboszcz parafii św. Anny w Tłumaczu

w Archidiecezji Lwowskiej

Zginął w więzieniu hitlerowskim w Stanisławowie. Oddał życie niosąc pomoc Polakom i Żydom.

*W hołdzie swemu Duszpasterzowi
Tłumaczanie 1991*

Tablica ta znajduje się na ścianie prawej nawy w kościele św. Stanisława i Doroty we Wrocławiu przy ul. Świdnickiej. Odślonięcia tablicy i jej poświęcenia dokonał Tłumaczanin ks. Czesław Tuzin-

kiewicz, były ministrant ks. E. Tabaczkowski. Tłumaczanie przybyli z całej Polski i z wielkim wzruszeniem uczestniczyli w żałobnej mszy św. i wysłuchali homolii wygłoszonej przez k. Cz. Tuzinkiewicza, w której przybliżył nam wielce zasłużony życiorys ks. E. Tabaczkowskiego.

2) Drugim, doniosłym dokonaniem Zarządu Klubu „Tłumacz” było zorganizowanie renowacji obrazu św. Anny Samotrzeć z głównego ołtarza kościoła z Tłumacza, a obecnie znajdującego się w kościele w Siedlakowicach. Dzięki tej inicjatywie cały kościół uzyskał odnowienie, ołtarz główny, konfesonajł itp. Tu fundatorami już byli parafianie. Poświęcenia dokonał i mszę św. celebrował ks. Kardynał Henryk Gulbinowicz, Metropolita Wrocławski. Wszyscy czuliśmy się bardzo zaszczytzeni, a na uroczystość przybyli tłumaczanie z całego kraju. Na zakończenie za kościołem odbył się prawdziwy tłumacki odpust. Ustępujący zarząd może jeszcze poszczycić się udaną i ciekawą wycieczką autokarową do Tłumacza oraz organizowaniem corocznych zjazdów t.j. dwutygodniowych wypoczynków całych rodzin Tłumackich. Po sprawozdaniu odbyły się wybory do nowego Zarządu, do którego weszli:

- Zygmunt Burczyński — prezes,
- Maria Dębiec-Kasperowicz — zastępca,
- Jerzy Czyżycki — sekretarz,
- Anna Panachida-Bocheńska — zastępca,
- Michał Dasiewicz — skarbnik.

Do komisy rewizyjnej weszli:

- Władysław Geruła — przewodniczący,
- Józefa Panachida-Skowron — zastępca,
- Helena Bilińska — członek.

Nowy Zarząd ma nowe zadanie. Jest nim wydanie książki „Monografia Tłumacza” Na razie jednak zdecydował się na wydanie kwartalnika „Zeszyty Tłumackie”. Na zakończenie cyklu „Wiadomości z życia Tłumaczan” będziemy zawsze publikować „rodzimą poezję”. Tworzyli ją z tęsnoty za utraconą ziemią, utraconą młodością nasi Tłumaczanie. Utwory te są zazwyczaj śpiewane przy ognisku na naszych zjazdach.

Tłumacz

JAN JOHNSON

Zielone miasteczko

Wśród zielonych wzgórz

Domy w cieniu kalin

I czerwonych róż.

Najpiękniejsze miasta

Przy nim błędną

Bo nasze miasteczko

Na świecie jest jedno.

Przeminięły nad Tobą

Groźne wieki

Nad grobami ojców

Proszących opieki

Tak umiłowane

Choć było biedne

To nasze miasteczko

Na świecie jest jedno.

Ja wiem że dawno

W nieznanym Ci kraju

Szukasz swej drogi

I tęsknisz do raj.

Lecz serce Ci wskaże

Tej tęsnoty sedno

Ze nasze miasteczko

Na świecie jest jedno!



Grupa Tłumaczan przy ognisku w Sułowie
— czerwiec 1995 r.

† O d e s z l i

W pierwszą rocznicę śmierci

W dniu 29.XII.1994 r. odszedł nagle wspaniały kresowianin, współzałożyciel i długoletni prezes Klubu Tłumaczan. Odmierzony Złotą Odznaką TMLiKPW

Ś † P

mgr inż. ZBIGNIEW BOJCZUK

Śp. Zbyszek urodził się 24.XII.1925 r. w Bydgoszczy. Ojciec Jego jako lekarz weterynarii skierowany został do pracy w Tłumaczu, gdzie Zbyszek uczęszczał do Szkoły Powszechnej, a następnie rozpoczął naukę w tamtejszym gimnazjum. Dalsza edukacja to tzw. „dziesięciolatka” za pierwszych Sowieców oraz tajne nauczanie za czasów okupacji niemieckiej.

W 1943 r. państwo Bojczukowie wraz z dziećmi Zbyszkim i Krysią wyjechali do Lwowa. Tam Zbyszek nawiązał kontakt z konspiracyjnymi strukturami Armii Krajowej i kontynuował naukę na tajnych kompletach. Po zakończeniu wojny rodzina przeniosła się do Bydgoszczy. W tym mieście Zbyszek uzyskał maturę. Podjął następnie studia na Politechnice Wrocławskiej na Wydziale Budownictwa Lądowego, które ukończył w 1951 roku. Po studiach związał się na stałe z Wrocławiem. Pracował w biurach Budownictwa Przemysłowego. W 1958 roku uzupełnił swoje wyższe wykształcenie uzyskując tytuł magistra.

W środowisku fachowców daje się poznać jako autor szeregu publikacji, w tym i książkowych, z zakresu budownictwa przemysłowego. W latach 1981-1985 wydelegowany został do Algerii w charakterze głównego projektanta osiedli mieszkaniowych oraz obiektów szpitalnych. Za osiągnięcia zawodowe i społeczne został uchronowany szeregiem odznaczeń resortowych. Pomimo nawału pracy zawodowej Zbyszek przez cały czas utrzymywał serdeczne kontakty z przyjaciółmi z kresowego miasteczka Tłumacz. Żywe i serdeczne kontakty koleżeńskie zaowocowały w roku 1989 powstaniem klubu tłumaczan przy TMLiKPW, którego pierwszym prezesem właśnie on został wybrany.

Zbyszek swoją kulturą osobistą oddziaływał na wszystkich stwarzając atmosferę wzajemnego szacunku i przyjaźni. Z Jego inicjatywy bracia tłumacko-wrocławska spotykała się każdego miesiąca przy herbatce, na miłych, koleżeńskich pogaduszkach. Patronował również zjazdom Tłumaczan z całej Polski, które odbywały się corocznie w różnych miejscowościach, a z czasem przybrały formę 2-tygodniowego wypoczynku całych rodzin.

Toteż Rodzina Tłumacka boleśnie przeżyła Jego śmierć, która nastąpiła tak niespodziewanie. Pozostaniesz zawsze Zbyszku w naszej pamięci jako nieodżałowany kolega i przyjaciel.

*Koleżanki:
Krystyna Ossowska-Korta
Helena Bilińska*



Nizniów

Olezów

Bratysława

Ostrynia

Klubowice

Pałahicze

Nadorożna

Tłumacz

Słobódka (ad Tłumacz)

Kolnice

Jackówka

Czarnołóżce

Hryniowce

Pilaweczyszyn

Krzywotule Nowe

Tarnowica Polna

Korolówka

Gruszka

Konstantynówka

Kol. Trojan